CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234–86000

1 (29) 2002

Prawie wszystko o Zaleszczykach ♦ Czarnohora: turystyka, sztuka i groza ♦ O Skolem piszą dawna mieszkanka i Beata Obertyńska ♦ Rozmowy z B. Wachowicz i E. Sosulskim ♦ Lwowskie wiersze z Londynu ♦ Dalej o Hausnerach ♦ Sylwetki ♦ Pani Chmielowa o roku 2001 ♦ Słownik ♦ Notatki

NASZE CZASOPISMA

Po upadku systemu komunistycznego powstające z końcem lat osiemdziesiątych towarzystwa *kresowe* powołały niebawem do życia całą serię czasopism-biuletynów. Szczególna ich obfitość pojawiła się w Towarzystwie Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Z grubsza możemy je podzielić na dwie grupy. Pierwsza – to organy zarządów oddziałów (z Zarządem Głównym na czele), które reprezentują ogół ekspatriantów i odnoszą się do całej utraconej Ziemi – Małopolski Wschodniej ze Lwowem na czele. Drugi rodzaj to periodyki środowisk związanych z małymi ojczyznami – miastami i miasteczkami, regionami, powiatami. Ale przecież wszystkie te pisma łączą podobne oczekiwania czytelników: zaspokojenie sentymentu do utraconej ziemi przodków i własnej młodości, wiedza o historii, geografii, kulturze i wybitnych postaciach tamtej ziemi, poznanie dzisiejszych problemów żyjących tam rodaków – politycznych i społecznych, materialnych, duchowych, a w końcu produkcja naukowa, literacka, artystyczna, także i przez samych czytelników tworzona.

Mają więc redakcje wiele tematów i problemów, doświadczeń i sukcesów oraz – jak zwykle – trudności do pokonania. Są też pomysły, które mogłyby, a nawet powinny być wspólnie realizowane. W takiej potrzebie ludzie się spotykają i dyskutują. Redaktorzy południowo-kresowych czasopism uczynili to jesienią 1994 roku w Krakowie.

Było to jednak spotkanie zaledwie p o z n a w c z e. Pisma dopiero się wtedy narodziły, redaktorzy byli jeszcze mało zorientowani w problematyce, w potrzebach i możliwościach, koncepcje się krystalizowały. Prezesi i redaktorzy cieszyli się, że takie pisma istnieją, że zyskują platformę porozumienia ze środowiskiem oraz szansę przekazywania i wymiany wiadomości, opinii, wiedzy. Pisemek z czasem przybywało (więcej niż ubywało), doświadczenia rosły. Otwierały się nowe horyzonty, wiele pism podniosło swój poziom merytoryczny, a nawet techniczny (komputeryzacja!).

Aż się prosiło, by się znowu spotkać. Wymienić doświadczenia, omówić na nowo problematykę (bo nic nie stoi w miejscu), może nawet to i owo skoordynować. Pożytek nie tylko dla redakcji – także dla czytelników i w ogóle dla s p r a w y – oczywisty. Jednak organizacja takiego spotkania przerasta dziś możliwości jednego oddziału. Do wspólnej rozmowy nie doszło i pewnie nie dojdzie.

Spróbujmy przeto poruszyć kilka wspólnych tematów.

Pisma nasze mają podobne zadania, nie pozostawiające wątpliwości co do swej istoty: 1) informować o sprawach bieżących, 2) dokumentować historię, 3) zaspokajać zainteresowania intelektualne i kulturalne (w zakresie określonej tematyki). Co to wszystko oznacza? Można je wszak różnie rozumieć.

Sprawy bieżące – pomińmy w tym miejscu nieskomplikowaną część informacji typu biuletynowego: o imprezach i wrażeniach z wycieczek, o pomocy charytatywnej i koloniach dla dzieci, o tablicach pamiątkowych, o życiu organizacyjnym itp. Ale obok tych prostych, jednoznacznych (a chwalebnych) wydarzeń, nie wymagających wszak pogłębionego rozeznania i komentowania, dzieją się – po obu stronach granicy – rzeczy piękne i straszne. Piękne, bo nasi Rodacy z wielkim trudem działają tam na rzecz utrzymania swojej narodowej tożsamości (okazuje się, że międzynarodowe gwarancje to za mało); straszne, bo inni rodacy tę tożsamość tępią bezlitośnie – podobno w imię wyższych celów. Nie wszędzie z tym samym przyśpieszeniem, ale krok po kroku...

Jakże o tych i podobnych sprawach nie wiedzieć albo bagatelizować? Jakże nie powiadamiać, nie ostrzegać? Trochę nam wstyd, że o owych historycznych zagrożeniach więcej piszą w swych *kresowych* dodatkach n i e k r e s o w e czasopisma. Rzecz w tym, że te czasopisma nie do wszystkich docierają i pozostaje cała rzesza ekspatriantów, której nikt nie informuje.

Także i po tej stronie granicy spotykamy rzeczy piękne i mniej piękne. Obserwujmy media – ileż tam budujących i ile antypatycznych wiadomości, wypowiedzi! Gdyby tak każdy kresowy organ zechciał systematycznie zająć się informacjami serwowanymi przez

(dokończenie na III stronie okładki)

FELIETON
W KOLORZE BIELI

Zima przełomu lat 39/40 zeszłego wieku to była sroga zima. Ledwo skończyła się jesień, a już śnieg pokrył wszystko dokoła. W ogrodzie przyklasztornym chodziło się w wykopanych w śniegu tunelach, w których łatwo było się schować w czasie zabawy w chowanego. Góra śniegu sięgała do wierzchołka murów, otaczających klasztorny ogród. Można było bezpiecznie podejść do nich po zamarzniętym śniegu i spojrzeć na okolicę. Patrzyłam więc na to, co było za murem, a raczej starałam się przypomnieć sobie to, co za nim było. W dole był wąwóz, przez który przepływała rzeczka. Ale teraz jej tam wcale nie było. Nawet nie można się było domyśleć jej istnienia. Po drugiej stronie wąwozu był wzgórek porośnięty lasem. Ale spod śniegu wyglądały tylko gdzieniegdzie oszronione gałęzie tworząc na białym śniegu ciemne plamy. Zasypana była też droga i gdzieś tam poza nią istniejące domy, nad którymi czasami unosił się z niewidocznych kominów biały dym. Na drodze nikt się nie pojawiał, nie poruszały się gałęzie drzew i nie dobiegał żaden głos. Nic, tylko pustka, cisza, bezruch i beznadzieja.

Jeżeli na drodze do klasztoru pojawiały się sanie i siedzący w nich ludzie, nie wróżyło to niczego dobrego. Na takich saniach w odległej bieli zniknęły z klasztoru dwie zakonnice w asyście żołnierzy w baranich czapach ozdobionych czerwonymi gwiazdami.

To wszystko działo się w tym beznadziejnym niedzianiu się w Jazłowcu.

Pięć lat później spoglądałam przez uchyloną bramę kamienicy na zasypany śniegiem krakowski Rynek. Cisza była absolutna. Nagle z którejś prowadzącej do Rynku ulicy wyskoczyła jak z procy ciężarówka pełna niemieckich żołnierzy. Przejechała na ukos przez Rynek i znikła w następnej ulicy. A za chwilę rozległ się straszliwy huk, w oknach zadźwięczały szyby i z tej strony Rynku, w której zniknęła ciężarówka, wysunęły się czołgi z czerwonymi gwiazdami. Nie wiem, czy ich widok przynosił radość, ulgę, czy też znowu niepewne jutro.

Miasto było przykryte śniegiem. Pod grubą warstwą lodu i śniegu znikła Wisła. Wędrowali przez nią ludzie, chcący przedostać się do leżących po jej drugiej stronie dzielnic. Szłam po zakrywającej wszystko bieli, kiedy nagle padł strzał. Skądeś wybiegł człowiek, ale nie starczyło mu już sił na dalszą ucieczkę i padł na zwał czystego śniegu. Wokół niego zaczęła rosnąć czerwona plama. Nadbiegli ludzie i stanęli w ciszy nad już nieżyjącym. Nie było w nich ani smutku, ani trwogi, tylko bezruch i zdumienie.

Przypomniałam sobie, że są kraje, w których kolor biały to kolor żałoby. Bo czyż nie był nim zarówno widok z klasztornych murów, jak i ten widok leżącego na białym śniegu zabitego człowieka?

Barbara Czałczyńska

Zbliżają się Święta Zmartwychwstania Pańskiego.
Na Wielkanoc roku 2002 – Wesołego Alleluja!

Janina Grzesiowska-Skowrońska

POLSKI MERAN

Zaleszczyki naszego wieku

Zaleszczyki leżą 300 km na południowy wschód od Lwowa, na Podolu. Położenie miasta jest fenomenalne: patrząc z lotu ptaka widzimy je jako platformę – można przyrównać to miejsce do patelni – opadającą ku południu, otoczoną z trzech stron nurtem Dniestru, który toczy swe wody do Morza Czarnego. Koryto Dniestru – to granica Rzeczypospolitej. Tereny za Dniestrem nazywano dawniej *stroną multańską*, a w 20-leciu była to granica z Rumunią. Wysoki przeciwległy brzeg bukowiński to skarpa wznosząca się do 300 metrów. Wzgórza Bukowiny stanowią doskonałą osłonę od wiatrów, a promienie słoneczne odbijając się od wody zapewniają niezwykłą insolację. Temperatura w lecie nierzadko przekraczała 50 stopni Celsjusza. W południe uliczki i place wyludniały się na wzór włoski czy grecki, a ludzie chowali się przed żarem po domach, wykorzystując czas na sjestę. Klimat zaleszczycki umożliwiał uprawę moreli, brzoskwiń, winogron, a nawet pomarańczy. Polska prasa przedstawiała Zaleszczyki jako miejscowość uzdrowiskową, porównywano je z włoskim Meranem lub też zwano *polską Rivierą*.

Z dobrodziejstw klimatu i uroków okolicy korzystało wielu letników. We wrześniu 1933 r. odpoczywał tu marszałek Józef Piłsudski [o tym można przeczytać w niniejszym numerze osobno – przyp. red.]. Jan Kasprowicz w 1899 r. zamieszkiwał dworek koło rynku i tam właśnie napisał wszystkim znaną pieśń *Święty Boże, Święty Mocny...*

W okolicy szczególną atrakcją był Czerwonogród, który nazwę swą wywodzi od czerwonych skał łupkowych, tam występujących[1]. Po łacinie zwano tę miejscowość z dawna *Castrum Rubrum*. Było to miejsce tyleż wojskowo, co i gospodarczo strategiczne. Czerwonogród leżał na tzw *wołoskim* szlaku handlowym. O wpływy na Podolu stoczono wiele bitew – walczyliśmy tu z Tatarami i Turkami, Kozakami i Mołdawianami, Wołochami i Węgrami, a nawet Litwinami. Miasta i wsie palono wielokrotnie, ale odradzały się i odbudowywały. Podobnie było z Czerwonogrodem i Zaleszczykami[2].

W XVIII wieku dobra zaleszczyckie weszły w posiadanie kasztelana krakowskiego Stanisława Poniatowskiego, potem własność przeszła na jego syna – był nim ostatni król Polski, Stanisław August. Po książętach Poniatowskich dotrwały tu do XX wieku trzy zabytkowe obiekty: ratusz, teatr letni i kościół. Ratusz był dawnym zameczkiem myśliwskim. Jego brama wjazdowa od strony zachodniej była przyozdobiona litewskim herbem Pogoni, a nad bramą wschodnią widniała wyrzeźbiona duża figura rycerza (zniszczona przez Ukraińców w 1919 r.). Sam ratusz został wysadzony w powietrze i rozebrany zupełnie niedawno, bo w 1967 r. Teatr letni, pięknie położony w parku przy pałacu (po Poniatowskich własność bar. Brunickich, a ostatnio, do II wojny, baronowej Turnau[3]), zbudowany przez księcia Józefa Poniatowskiego, dziś także nieistniejący. Kościół parafialny fundacji przyszłego króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, pod wezwaniem św. Stanisława Szczepanowskiego, patrona całej Polski, a więc także tej jej części, która należała do nas przed

Widok na Zaleszczyki z rumuńskiego brzegu

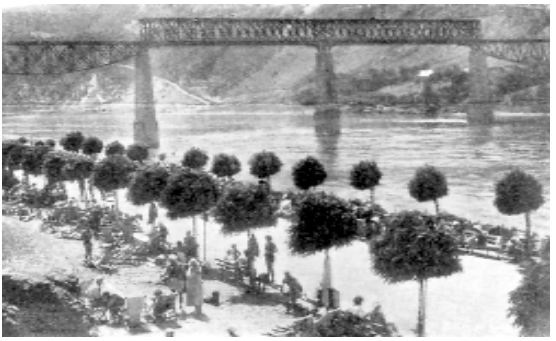

Plaża nad Dniestrem

rozbiorami, przed agresją sowiecką i Jałtą. W kościele, nad drzwiami do zakrystii, wisi herb Poniatowskich.

* * *

Kiedy sowieci wkroczyli do Polski 17 września 1939 r. , zaraz następnego dnia wjechali czołgami do Zaleszczyk. Liczyli na odcięcie drogi ewakuacji polskim władzom cywilnym i wojskowym. Mieli jednak złe informacje: przez Zaleszczyki uszła tylko część korpusu dyplomatycznego, polskie władze przeszły zaś na stronę rumuńską w ostatniej chwili, w nocy 17/18 września przez Kuty, położone ok. 100 kilometrów na południowy zachód od Zaleszczyk. Natomiast tutaj i w sąsiedniej wiosce Pieczara (6 km od Zaleszczyk) zorganizowano akcję przerzutów przez Dniestr do Rumunii.

W czasie II wojny światowej ludność Zaleszczyk, jak i całego Podola, przeżyła wiele tragedii: przechodziła kolejno okupacje sowiecką, niemiecką i jeszcze raz sowiecką. Licznych wywieziono na *nieludzką ziemię*, wielu zabili ukraińscy banderowcy.

Kościół zaleszczycki został przez sowietów zamieniony na magazyn soli i nawozów sztucznych. Sól wsiąkła w ściany do wysokości pięciu metrów i dziś te przeżarte mury sprawiają wiele trudności przy konserwacji świątyni. Do swojego przeznaczenia kościół powrócił ograbiony i zdewastowany. Obecnie został częściowo odrestaurowany dzięki wielkiej ofiarności parafian, obecnych i dawnych, a także księży Michaelitów, którzy działają tu bardzo dzielnie. Ponowna konsekracja kościoła odbyła się w 1991 roku.

Ekspatriowani na „zachód" mieszkańcy Zaleszczyk starają się przyjść z pomocą swojej rodzinnej miejscowości i tej nielicznej garstce Polaków, którzy tam zostali i przetrwali. W samych Zaleszczykach jest zaledwie kilkanaście rodzin czysto polskich i nieco więcej rodzin mieszanych. Oni jeszcze teraz boją się przyznawać do swojego polskiego pochodzenia, ale już się dźwigają, już są widoczni na tle tamtejszej społeczności.

Zaleszczyki są zdewastowane. Na miejscu zabytkowego ratusza, po zburzeniu pomnika Lenina, postawionego w tym miejscu przez sowieckich okupantów, powstał placyk, a przy nim dwa nieciekawe budynki, z których jeden zwie się *domem towarowym*. Zupełnie zniszczona jest przepiękna dawniej plaża słoneczna nad Dniestrem. Wycięto w pień aleje strzyżonych niegdyś i pielęgnowanych akacji. Pozostały zaledwie resztki murów po dawnym budynku restauracji, wypożyczalni kajaków i łodzi, miejsca dla orkiestry i tańca. Serce boli, że jeden z najpiękniejszych zakątków przedwojennej Polski, malowniczy i niepowtarzalny, jest tak zdewastowany. Ale trzeba mieć nadzieję w sercu...

Zaleszczyccy ekspatrianci organizują pielgrzymki do swojego miasta. Spotkania z rodzinną ziemią i rodakami są zawsze i dla wszystkich niezwykłym przeżyciem. Do Zaleszczyk zawieziono ołtarz – dar ss. Sercanek, fisharmonię, dywan, ornaty, obraz i wiele drobnych, potrzebnych przedmiotów. W planach jest przewiezienie do Zaleszczyk wielkiego ołtarza – daru oo. Bonifratrów[4]. W Zaleszczykach brakuje dzwonów na wieży, konfesjonałów, wyposażenia zakrystii. W planie jest także zakup monstrancji ze zbiórek.

Przyjazdy gości pobudzają ludzi w Zaleszczykach do działania. Przed paru laty plac przed kościołem pokryto nowym brukiem – zaraz po uroczystej procesji odpustowej 8 maja, która szła po niewyobrażalnych wertepach. Jak dawniej, Chrystus w Najświętszym Sakramencie został publicznie uczczony i niósł się po podolskiej ziemi śpiew *Ciebie Boga wychwalamy*...

---

1 Czerwony kamień występuje w wielu miejscach Podola, np. w okolicach Trembowli (czerwony piaskowiec trembowelski można zobaczyć m.in. na Wawelu). Niektórzy historycy stąd wywodzą nazwę Ziemi Czerwieńskiej, a nie od Czermna nad Bugiem, na pograniczu Lubelszczyzny i Wołynia.

2 Historię Zaleszczyk i Czerwonogrodu szerzej omawiają hasła *Słownika geogr.-hist.* w niniejszym numerze.

3 Stella Turnau. O rodzinach Brunickich i Turnauów traktuje osobny artykuł.

4 Boczne ołtarze z kościoła Bonifratrów w Krakowie (6 szt., wykonane w latach II wojny

i obecnie usuwane), zostały przed kilku laty wywiezione i umieszczone w kościołach: w Drohobyczu i Stanisławowie (po dwa) oraz w Truskawcu i Medenicach (po jednym). Czasowo pozostał wtedy główny ołtarz.

JANINA SKOWROŃSKA, z domu Grzesiowska, ur. 1933 w Zaleszczykach. Tamże rozpoczęła naukę, a po ekspatriacji szkoły ukończyła w Krakowie. Studia biologiczne rozpoczęła na UJ, ukończyła na UMCS w Lublinie; równocześnie studia filozoficzno-teologiczne na KUL (nieukończone). Po studiach pracowała jako mikrobiolog w Chrzanowie oraz w Krakowie w Wojew. Stacji San. Epid. i placówkach służby zdrowia jako kierownik laboratorium. Obecnie na emeryturze. Uzyskała uprawnienia w PTTK i pracuje jako przewodnik, a ponadto poszerza swoją wiedzę w Studium Apostolstwa Świeckich.

J. Grzesiowska-Skowrońska przekazała niedawno dokumenty i pamiątki swego ojca, kupca zaleszczyckiego Juliana Grzesiowskiego (1900–93), do archiwum Krakowskiej Kongregacji Kupieckiej. Fakt ten omawiała krakowska prasa.

Z bogatej twórczości doskonałej poetki, która przeżyła kilkadziesiąt lat w Zaleszczykach i tam zmarła w 1988 r. (ur. w 1909 r. w Kurowicach k. Lwowa, notka biogr. w CL 2/99) – wybraliśmy wiersz stosowny do pory roku:

Mieczysława Piotrowska

Matka Boska Gromniczna

Mario, co idziesz przez luty,
przez ogród zimny pełen róż śmiertelnych,
i świat zadymiasz czadem gromnicy,
ulituj się nad tymi, co nie noszą butów,
i w jarzmie głodu chodzą – czy to wilk
czy zając.
Pomódl się za nich w nieszpory
niedzielne,
gdy dym kadzidła jak wianki ruty
pachnie splatając się z powietrzem
w blade ogniwa żalu i pokuty,
odmień swych pieśni nutę lodowatą
i świat przeżegnaj nadziei kolędą
dla tych co są
i będą.

Mieczysław B. Lepecki

MARSZAŁEK W ZALESZCZYKACH

Wysunięte na południe, zasłonięte od północy, położone w głębokim jarze Dniestru – Zaleszczyki są najcieplejszym i najsłoneczniejszym zakątkiem Polski. Tutaj jedynie dojrzewa winograd, istnieją sady morelowe i brzoskwiniowe, rośnie dziki migdał, a przed domami wdzięczą się egipskie rycynusy. Dzięki specjalnym warunkom terenowym wiosna zaczyna się w Zaleszczykach najwcześniej, lato kończy się najpóźniej, a ilość dni słonecznych jest największa. Winnice, sady owoców południowych, plantacje melonów i arbuzów – wszystko to nadaje im wiele cech dla nas egzotycznych i miłych. Wskutek tych warunków jar dniestrowy staje się Mekką wszystkich, którzy tęsknią do słońca, kochają kwiaty i lubią owoce.

Zaleszczyki, rozłożone malowniczo na spadzistym brzegu wielkiej rzeki, która ongiś oddzielała świat muzułmański od chrześcijańskiej Polski, pełne wspomnień i legend – stanowią miejsce idealne dla jesiennego wypoczynku. Toteż nic dziwnego, że wówczas, gdy brzeg morski opróżnia się zupełnie, gdy we wszystkich innych miejscowościach klimatycznych hula po pustych pensjonatach zimny wiatr, tutaj panuje jeszcze ożywiony ruch. Sezon trwa tu do połowy października, a więc do czasu niespotykanego w żadnej innej miejscowości naszego chłodnego kraju.

Już na wiosnę, bodaj w maju [1933], kazał mi Marszałek pojechać do Buczacza, Kopyczyniec, Czortkowa i Zaleszczyk. W Buczaczu i Kopyczyńcach miałem przyjrzeć się dokładnie urządzeniom dworcowym. Wiadomości o nich były potrzebne Marszałkowi w związku z jakąś grą wojenną. W Czortkowie miałem udać się do płk. Piekarskiego, który był wówczas dowódcą tamtejszej brygady Korpusu Ochrony Pogranicza, aby zakomunikować mu pewne polecenie Marszałka. Co do Zaleszczyk zaś, to

miałem rozkaz przyjrzeć się im dokładnie i opowiedzieć, jak wyglądają. Marszałek nie ukrywał, że miałby ochotę udać się tam na jesień, ale nie był pewny, czy odpowiedzą Jego nadziejom. Ja miałem dostarczyć Mu elementów do powzięcia decyzji. Natychmiast wziąłem samochód i udałem się w drogę. Z podróży tej sporządziłem sprawozdanie, do którego dodałem cały album zdjęć wszystkich obiektów interesujących Marszałka oraz szereg fotografii Zaleszczyk i ich okolic. Odnośnie do tych ostatnich wyraziłem przekonanie, że aczkolwiek to nie Madera[1] ani Egipt, ale na pewno najcieplejsze i do tego jedno z milszych miejsc w Polsce. Marszałek wypytywał mnie szczegółowo o winnice, sady owocowe i o pogodę, jaka podczas mojej tam bytności panowała. Relacja moja wypadła dla Zaleszczyk pomyślnie, niemniej jednak Marszałek nie wydał decyzji natychmiast, lecz odłożył ją na później. Nie wydał jej też wówczas, gdy wyjeżdżał na urlop do Pikieliszek. Dopiero gdy wróciłem z podróży na Sybir, Marszałek wezwał mnie i powiedział, aby zająć się przygotowaniem wyjazdu i odpowiedniej kwatery na miejscu. Misję swoją rozpocząłem od długiej konferencji z płk. Warthą, a potem z kpt. Ziemiańskim. Trzeba było tak działać, aby wiadomość o wyjeździe Marszałka nie stała się tajemnicą poliszynela. Nie było to łatwe, gdyż byłem dość powszechnie znany i mój przyjazd mógł być łatwo skojarzony z późniejszym przybyciem Marszałka. Trzeba więc było udawać zmęczonego podróżą do Rosji i postępować bardzo ostrożnie. Bliskość granicy napawała nas wszystkich obawami o bezpieczeństwo Marszałka. Przyznaję, że wyjeżdżałem 1 czy 2 września do Zaleszczyk z duszą na ramieniu.

W tym roku przypada 135. rocznica urodzin Marszałka Józefa Piłsudskiego

Na miejscu zamieszkałem w pensjonacie „Ustronie", pięknie położonym nad brzegiem Dniestru, i począłem rozglądać się w możliwościach zainstalowania Marszałka Piłsudskiego. Do tajemnicy musiałem dopuścić miejscowego starostę Józefa Krzyżanowskiego[2], gdyż bez niego byłoby mi trudno dać sobie radę. Już na drugi dzień po przybyciu doszedłem do przekonania, że w Zaleszczykach istnieją tylko dwa budynki zdatne do pomieszczenia Marszałka. Pierwszym był pałac baronowej [Stelli] Turnau, należący ongiś do rodziny Poniatowskich, drugim zaś ładna willa Zarządu Drogowego, położona w bezpośrednim sąsiedztwie parku baronowej. Pałac wyglądał wprawdzie okazale, ale był w stanie wymagającym dość znacznych remontów, a ponadto właścicielka, której nie mogliśmy powiedzieć, kogo miałaby ewentualnie gościć, projekt odstąpienia pałacu traktowała dość zimno. W rezultacie zatrzymałem się na willi Zarządu Drogowego, przy czym jednak uzyskałem od baronowej Turnau zgodę na zajęcie jej parku i przegrodzenie go drewnianym, szczelnym płotem z desek. Willa, położona w odległości zaledwie 10 metrów od Dniestru, otoczona była niewielkim ogrodem, którego prawdziwą ozdobę stanowił wielki orzech włoski, rzucający cień na werandę. Z okien roztaczał się wspaniały widok na Dniestr i wyniosły brzeg rumuński, przesłonięty nieco, jakby dla dekoracji, drzewami ogrodu. Z boku drzemał olbrzymi park baronowej Turnau, założony jeszcze w 1805 roku, którego altanki, aleje starych drzew, trawniki i widok na fale Dniestru stwarzały piękną całość. W ten sposób uzyskałem dla Marszałka dość niezłą willę, która w połączeniu z parkiem baronowej odpowiadała w moim mniemaniu warunkom niezbędnym dla letniej siedziby pana Marszałka. Pozostały do rozwiązania jeszcze dwie trudności:

willa nie posiadała dostatecznie dużego pokoju na sypialnię i była zbytnio wystawiona na widok publiczny, co na pewno by Marszałka krępowało. Powyższą trudność rozwiązałem w ten sposób, że kazałem wyjąć jedną ścianę wewnętrzną i z połączonych dwóch pokojów uzyskałem jeden duży, drugą zaś zwalczyłem przez wystawienie wysokiego płotu, który, jakby w przeczuciu późniejszych zarządzeń premiera Sławoja Składkowskiego, kazałem pomalować na piękny kolor zielony.

Gdy wszystko było już gotowe, zatelefonowałem o tym pułkownikowi Warthcie, a ten z kolei zameldował panu Marszałkowi.

Sprawa przyjazdu Marszałka Piłsudskiego na jesienny wypoczynek do Zaleszczyk „wysypała się" na dwa dni przed Jego wyjazdem z Warszawy. Zdradziły nas wystawione w nocy płoty, szybkie urządzanie willi, instalacje telefoniczne i wielkie zainteresowanie się miasteczkiem, okazywane przez władze administracyjne. Wieść ta poruszyła oczywiście całe Zaleszczyki do głębi. Mieszkańcy zabrali się energicznie do robienia generalnych porządków, sprzątając i zamiatając ulice i w ogóle załatwiając sprawy, które, jak wiadomo, robi się tylko „raz na rok około Wielkiej Nocy".

Marszałek przybył do Zaleszczyk 5 września [1933] rano. Na stacji kolejowej oczekiwali Jego przyjazdu: wojewoda tarnopolski Moszyński, starosta miejscowy Krzyżanowski oraz dowódca okręgu korpusu gen. Bolesław Popowicz. Przed opuszczeniem wagonu Marszałek Piłsudski przyjął oczekujących, rozmawiając z nimi przeszło pół godziny. W czasie tej rozmowy zwrócił uwagę staroście zaleszczyckiemu, aby nie urządzał żadnych uroczystości, czy też rautów, gdyż podczas odpoczynku nie lubi tego rodzaju niepotrzebnych ceremonii.

Poza tym Marszałek Piłsudski wypytywał wojewodę i starostę o stan rolnictwa, w szczególności interesując się miejscową szkołą rolniczą. Była ponadto mowa o klimacie Zaleszczyk i ich przyszłości jako stacji klimatycznej. Informował się też Marszałek o kwestii ukraińskiej. Później w rozmowie ze mną, gdy zagadnąłem Go na temat jakiegoś załatwienia na dalszą metę współżycia z narodem ukraińskim, odpowiedział: *Ja już tego nie załatwię; za mego życia nie da się to załatwić*. I dodał nawet z pewną irytacją: *Ja wszystkiego za was nie będę robił*.

Do willi udał się Marszałek samochodem, witany przez ludność zebraną licznie wzdłuż drogi prowadzącej od stacji kolejowej przez miasteczko. Willa podobała się Marszałkowi. W szczególności przyjemnie uderzyło Go jej położenie nad samym Dniestrem. Patrząc na tę piękną rzekę, rzekł:

– *Największą niespodzianką dla mnie tutaj jest ta bliskość Dniestru*.

Pułkownik Kazimierz Glabisz, który był również obecny przy pierwszych oględzinach owego locum, dodał:

– *Ale chyba, panie Marszałku, miłą niespodzianką?*

– *Naturalnie, że miłą* – odrzekł Marszałek Piłsudski, który, jak wiadomo, lubił wodę. Nie bez wpływu na te Jego słowa musiało być też wspomnienie Pikieliszek, w których fale jeziora podchodzą tuż pod werandę dworu. Spoglądając później na wyniosły brzeg rumuński, zwrócił się do mnie i rzekł:

– *Ta góra przypomina mi brzeg Leny w Kireńsku na Syberii. Wy tam byliście, to możecie też porównać.*

Istotnie, podobnie jak w Zaleszczykach nad Dniestrem, tak i w Kireńsku nad Leną dźwiga się ku niebu potężny brzeg-góra, przygniatająca swoim ogromem ludzkie siedziby, wyglądające przy niej jak legowiska karzełków.

Pierwsze dni pobytu w „polskim Meranie" nie bardzo usprawiedliwiały jego nazwę. Było pochmurnie, deszczowo. Słońce wprawdzie pokazywało się wielokrotnie, ale nigdy na dłużej aniżeli na kilkanaście minut. Pomimo tego Marszałek Piłsudski korzystał ze spacerów nad Dniestrem, w pięknie położonym parku.

Pobyt w Zaleszczykach nie był pobytem wypoczynkowym w całym tego słowa znaczeniu, gdyż Marszałek postanowił nie przerywać swoich najważniejszych czynności. Wprawdzie przyjęcia dygnitarzy państwowych były rzadsze niż w Warszawie, niemniej jednak korowód interesantów był spory. Rozpoczął go wojewoda lwowski Belina-Prażmowski. Przyjechał 13 września i jeszcze tego samego dnia został przyjęty.

Józef Krzyżanowski, starosta zaleszczycki (zdjęcie przedwojenne)

Marszałek rozmawiał z nim długo, najpierw na cienistej werandzie, a później w swoim gabinecie w willi.

Następnego dnia zawitał do Zaleszczyk minister spraw zagranicznych Józef Beck z dyrektorem Sewerynem Sokołowskim i sekretarzem Friedrichem. Marszałek Piłsudski przyjął go w ciągu doby dwukrotnie. Minister opowiadał później, że po załatwieniu spraw urzędowych rozmowa z Marszałkiem zeszła oczywiście na Zaleszczyki i pobyt w nich. Piłsudski wówczas powiedział:

– *Tutaj jest nie do wiary cicho i spokojnie, tutaj nawet koguty nie pieją, nawet psy nie szczekają w nocy.*

Istotnie willa Marszałka Piłsudskiego położona była w miejscu zasłoniętym, odgrodzonym od wszelkich hałasów i niepokojów. Broniły tym intruzom wstępu wysokie drzewa parku i wysoki nasyp, prowadzący do zburzonego podczas wojny mostu na Dniestrze. Jedynym odgłosem dochodzącym do ogrodu był stłumiony odległością turkot wozów, jadących szosą na rumuńskim brzegu. Ciszy i spokoju, tych nieodzownych warunków wypoczynku, w Zaleszczykach nie brakowało, a w szczególności nie brakowało ich w willi zajmowanej przez Marszałka.

Ponieważ ministrowi Beckowi pozostało po załatwieniu wszystkich spraw jeszcze kilka godzin czasu, pojechaliśmy przeto do pobliskiej uroczej miejscowości, do Czerwonogrodu. Znajduje się tam, w pięknym jarze rzeki Dżurynu, stary zamek, w którego ruiny wbudowano półtora wieku temu pałac[2]. Posiadłość ta należała do księżnej Lubomirskiej, starszej pani, która z zamiłowaniem oddawała się pracy nad kulturą owoców południowych w swoich majątkach. Posiadała sady morelowe oraz plantacje melonów i kawonów. Robiła próby założenia winnic i sadów brzoskwiniowych.

Pojechaliśmy tam pod wieczór. Głęboki jar wydawał się nam z wysokiego brzegu siny i niebieski. Z jego dna wyrastała stroma fałda, na której szczycie usadowił się zamek. Musiała to być kiedyś groźna forteca. Dwie wysokie baszty świadczyły o jego obronnym charakterze. Mury jego widziały Turków, Tatarów, Kozaków i Wołochów. Do dnia dzisiejszego pokazują miejsce, gdzie stał namiot baszy, dowódcy sułtańskich wojsk oblężniczych.

Zamku nie można było właściwie nazwać ruiną. Wystarczyłoby trochę go tylko odremontować i mógłby stać się zdatny do zamieszkania. Część tej pracy księżna Lubomirska nawet wykonała. Szereg pokojów doprowadziła do stanu używalności, zaprowadzając w nich elektryczność i wodociągi; do wykończenia całości jednak droga była jeszcze daleka.

Właścicielka zamku, dowiedziawszy się o obecności ministra Becka, przyszła niezwłocznie i zaprosiła nas do siebie na podwieczorek. Księżna mieszkała w małym, lecz bardzo ładnym dworku, w bliskim sąsiedztwie starego zamczyska. Spędziliśmy w nim kilka bardzo miłych chwil na rozmowie o przeszłości Czerwonogrodu i o przyszłości sadownictwa w tej części Podola. [...]

Wprawdzie nie przez cały czas pobytu Marszałka Piłsudskiego panowała pogoda, jednak kilka ostatnich dni było nader uroczych, wynagradzających sowicie kilka innych, niepogodnych i dość chłodnych. W słońcu termometr wskazywał wówczas 46^{o}C, a nawet były chwile, gdy słupek rtęci zbliżał się ku 50 stopniom. Cudowny jar dniestrowy roztaczał przed nami wszystkie swoje uroki: słońce, gorąco, brak duszności i wiatru, no i cudowny błękit nieba.

Marszałek Piłsudski korzystał z tych pięknych dni pełną dłonią. Codziennie udawał się do parku i spacerował po cienistych alejach, gdzie stawały do konkursu piękności: zieleń drzew, złote plamy słońca i szum wielkiej rzeki. A potem, na ocienionej winogradem werandzie, czytywał gazety i przywiezione z sobą książki. Dla człowieka zmuszonego do mieszkania w mieście, możność przesiadywania na świeżym powietrzu stanowi prawdziwą przyjemność. Tym lepiej, gdy przyłączy się do niej spokój i cisza, gdy

powietrza nie przecinają nawet tak zgodne z naturą odgłosy, jak pianie koguta i szczekanie psów.

Opowiadanie pochodzi z książki M.B. Lepeckiego pt. „Pamiętniki adiutanta marszałka Piłsudskiego" (1936). Tytuł nadany przez Redakcję.

---

1 Marszałek Piłsudski wypoczywał na Maderze (wyspa portugalska na Atlantyku) w r. 1931. Pobyt ten opisał Zygmunt Nowakowski w opowiadaniu *Złotówka Manoela*.

2 Starosta Józef Krzyżanowski należał do czołówki działaczy Związku Uzdrowisk Polskich, był członkiem jego zarządu w Warszawie (ZUP powstał we Lwowie i tam mieścił się jego zarząd do 1925 r.). Po II wojnie J. Krzyżanowski został dyrektorem uzdrowiska w Goczałkowicach. Zmarł w latach 60., pochowany na cmentarzu Rakowickim w Krakowie.

3 Pałac zburzono za czasów sowieckich, zachowały się jedynie obie baszty. Polska ludność Czerwonogrodu została wymordowana przez banderowców w 1945 r.

MIECZYSŁAW BOHDAN LEPECKI, rodem spod Puław. Legionista, kombatant wojny polsko-bolszewickiej 1920 r. Oficer, 1932–35 adiutant marszałka Piłsudskiego. Podróżnik, pisarz, wydał wiele książek reportażowych, głównie o Ameryce Płd. i J. Piłsudskim, w tym *Pamiętnik adiutanta...*

Odtworzony pomnik na zaleszczyckim cmentarzu

PRAWDA

Józef Juzwa

Jednym z wydarzeń o znaczeniu ponadnarodowym w 1938 r. było odbudowanie i otwarcie zniszczonego podczas I wojny światowej mostu drogowego w Zaleszczykach, łączącego Polskę z Rumunią. W uroczystości, 24 września, wzięły udział władze kościelne [...] i państwowe – z wojewodą tarnopolskim Malickim i starostą Józefem Krzyżanowskim na czele. Po stronie rumuńskiej poświęcili most duchowni prawosławni w obecności władz rumuńskich. Polskie radio przeprowadziło z tej okazji transmisję.

Obok istniejącego połączenia kolejowego, skracającego drogę do Kołomyi, a dalej Stanisławowa i Lwowa – na krótkim odcinku tranzytem przez rumuńską Bukowinę – nowy most stanowił ostatnią klamrę łączącą oba kraje i był na południowej rubieży Rzeczypospolitej ostatni przed granicą z Rosją sowiecką. Stanowił ważny punkt strategiczny, a także turystyczny dla rozwijającego się w szybkim tempie uzdrowiska i letniska.

Zaleszczyki przed I wojną, jak pisał M. Orłowicz: ... *z powodu gorącego klimatu nazywano galicyjskim Meranem...* Nazwa przyjęła się i później, stąd *polski Meran*. Wyjątkowo piękne położenie i nasłonecznienie (jak pisał Wańkowicz: ... *smaży się zaleszczycka patelnia...*) stwarzało korzystne warunki dla uprawy południowych jarzyn i owoców. [...] Dzięki nim właśnie zasłynęły przed II wojną tutejsze dożynki winobraniowe, stanowiące atrakcję dla całej Polski. Szczególnie pięknie świętowano winobranie w dniu otwarcia mostu drogowego w 1938 roku.

Rok następny w Zaleszczykach nie różnił się zrazu od innych. Fala letników zalegała naddniestrzańskie plaże „Słoneczną" i „Cienistą", choć w powietrzu odczuwało się podmuchy zbliżającej się burzy. 9 lipca miasto i cała okolica przeżyły wielką uroczystość: w pobliskim Jazłowcu – siedzibie kościelnych władz dekanalnych Zaleszczyk – kardynał August Hlond, w asyście metropolity lwowskiego arcybiskupa Bolesława Twardowskiego, dokonał koronacji białej

O SZOSIE ZALESZCZYCKIEJ

figury Matki Boskiej Jazłowieckiej, patronki Podola, a także stacjonującego we Lwowie 14 pułku Ułanów Jazłowieckich. Tenże ksiądz kardynał w dwa miesiące później zawitał ponownie w tamte strony, w jakże odmiennej sytuacji i scenerii.

Nad Polską zasnuły się chmury i widmo wojny zakłóciło spokój powracających śpiesznie do swoich domów letników. 1 września radio oznajmiło narodowi polskiemu złowieszczą wiadomość: WOJNA! Spokojne już w tym czasie Zaleszczyki miały stać się wkrótce świadkiem wydarzeń, które odcisnęły swoje piętno na moim rodzinnym mieście na długie lata. Nie walory klimatyczne, nie bogata przeszłość historyczna tego regionu zadecydowały o roli Zaleszczyk po rozpoczęciu II wojny światowej, lecz sytuacja działań wojennych, a pełnią goryczy napiętnowała władza rządząca powojenną Polską przez prawie pół wieku.

Cofające się przed naporem wojsk niemieckich siły polskie rozpoczęły koncentrację w okolicach Lwowa i na krańcach południowo-wschodnich (Podole–Pokucie). Dlatego najbezpieczniejszym zapleczem dla uchodźców stały się te właśnie strony, graniczące z zaprzyjaźnionymi z nami państwami – Węgrami i Rumunią. Droga ze Lwowa przez Tarnopol do Zaleszczyk, czyli *szosa zaleszczycka* (obok drogi Lwów–Stanisławów–Śniatyn, czyli drogi *śniatyńskiej*) stała się zbawiennym celem tysięcy głodnych i zmęczonych ludzi.

Historię tamtych dni opisano szeroko w wielu publikacjach naukowych i popularnych tak na Zachodzie, jak i w kraju. Jedne były obiektywne, inne tendencyjnie zniekształcały prawdę. Narodziło się określenie „szosy zaleszczyckiej", które od nazwy przejścia granicznego stało się symbolem rzekomej klęski narodowej.

Swoją relację opieram przede wszystkim na obiektywnych publikacjach L. Moczulskiego, K. Liszewskiego, I. Łojka i innych oraz na wspomnieniach własnych. Urodziłem się i wychowałem w Zaleszczykach i jako uczeń II klasy licealnej (rok przed maturą) byłem świadkiem tamtych dni. Określenie *szosy zaleszczyckiej* w negatywnym znaczeniu, a używane tak często w minionym okresie, zawsze raniło moje uczucia patriotyczne, zwłaszcza gdy wyrażało kłamstwo i oszczerstwo.

Po ogłoszeniu mobilizacji pod koniec sierpnia, przeznaczono Zaleszczyki na pozafrontową bazę szpitalną. Szpitale wojskowe miały być rozlokowane w koszarach KOP, w ODW (Oficerskie Domy Wypoczynkowe), w pałacu baronowej Turnau oraz kilku pensjonatach. Przy ich organizowaniu czynny udział brała młodzież gimnazjalna i licealna, znosząc łóżka, koce, pościel.

Z każdym dniem września przybywało uchodźców spod frontu. Miasto zaczęło ponownie się ożywiać, ale nie było to ożywienie winobraniowe (winobrania odbywały się wszak we wrześniu). Z uwagi na stale rosnącą liczbę przybyszów od 10 września rejestrowano przyjeżdżających w Komisji Uzdrowiskowej, celem zapewnienia im locum i niezbędnej pomocy (wśród nich znaleźli się rodzice żony marszałka Rydza-Śmigłego, pp. Thomasowie). Młodzież licealna została przydzielona do pomocy straży granicznej i policji (służba telefoniczna w gimnazjum, patrolowanie wodociągu miejskiego w Pieczarnej, wodociągu kolejowego, służba Obrony Przeciwlotniczej i Gazowej, a wreszcie pomoc przy ewakuacji szpitali do Rumunii). Młodzież młodsza zaangażowana została do pomocy przy rozlokowaniu uchodźców. Miasto bowiem pękało w szwach i znalezienie wolnego łóżka stało się bardzo trudne. W tych dniach, tj. między 10 a 16 września, zarejestrowano 15 tysięcy osób, ponad 100 autobusów i kilkadziesiąt samochodów osobowych. Jak mówili naoczni świadkowie, na poboczach drogi z Tarnopola do Zaleszczyk leżały liczne samochody, opuszczone z powodu braku benzyny.

Bieg wydarzeń wojennych zmusił naczelne władze państwowe do stałego ewaku-

owania się na wschód. 12 września Rząd Polski przebywał w Łucku na Wołyniu, a korpus dyplomatyczny nieopodal, w Krzemieńcu. Przypatrzmy się relacjom, zawartym w książce *Wrzesień 1939 w relacjach dyplomatów*:

wtorek 12 IX, s. 187 (amb. Biddle): [...] *Noc była ciepła. Większość przenocowała w samochodach w obrębie parku licealnego. Nazajutrz wyruszyliśmy w kierunku Zaleszczyk i Kut.*

środa, 13 IX, s. 199 (amb. Szembek): *... kardynał prymas August Hlond jest w Krzemieńcu... i postanowił wyjechać do Rzymu.*

s. 201 (Zabiełło): *Beck pojechał do Łucka na naradę z prezydentem, po czym... nasza ogromna kolumna samochodowa mogła wyruszyć do Kut.*

s. 205 (min. Beck): *Tego dnia około 3 po południu podjęto oficjalną decyzję, by Ministerstwo Spraw Zagranicznych i korpus dyplomatyczny ewakuowały się z Krzemieńca do Zaleszczyk, odległych ok. 250 km...*

s. 207 (Szembek): *... Duża część dyplomatów już w ciągu dnia opuszczała Krzemieniec w kierunku na Zaleszczyki...*

13 września przywitaliśmy w Zaleszczykach ks. prymasa A. Hlonda, któremu odstąpił swój pokój młody wikary ks. Andrzej Urbański. Tę gościnę zapamiętał dobrze Dostojny Gość, ofiarowując po wojnie ks. Urbańskiemu parafię prałatury w Pile (przed wojną samodzielna jednostka podległa bezpośrednio Rzymowi), Wstawił się też do ordynariusza opolskiego, gdy ks. Urbański zmęczony przeżyciami w Zaleszczykach i osobistymi (po zamordowaniu przez okupantów najbliższej rodziny – siostry, czterech braci, bratowych i bratanka), odmówił przyjęcia ofiarowanej mu placówki.

Teraz osobiście poznałem księdza kardynała-prymasa, którego przed niespełna dwoma miesiącami widziałem z oddali w Jazłowcu. Prymasowi towarzyszyli kapelan ks. Baraniak (później abp poznański) i sekretarz ks. Filipiak (późniejszy kardynał). Ks. prymas przyjechał do Zaleszczyk nowym Packardem, który nie posiadał jeszcze dokumentów zezwalających na przekroczenie granicy, dlatego Dostojny Gość zmuszony był wyjechać do Rumunii pociągiem. Towarzyszyłem ks. Filipiakowi w poszukiwaniu urzędów, a następnego dnia służyłem do mszy świętej kardynałowi. Otrzymałem wówczas obrazek MB Jazłowieckiej z dedykacją. Ksiądz prymas prosił o przygotowanie locum dla zdążającego do Zaleszczyk nuncjusza apostolskiego. Na wojenną nuncjaturę przeznaczono dom moich rodziców przy ul. Kopernika 9. Ojciec mój, naczelnik sądu w Zaleszczykach, był szanowanym i cenionym również w kręgach kościelnych obywatelem (był m.in. prawnym opiekunem „Winikoli" – winnicy kurii metropolitalnej wileńskiej w Zazulińcach k. Zaleszczyk, gdzie wyrabiano wino mszalne). On też wspólnie z ks. Urbańskim i ze mną żegnał 14 września odjeżdżającego Dostojnika. Samochód prymasa pozostał pod opieką ks. Urbańskiego i dopiero w niedzielę 17 września, po zniesieniu przez Rumunów bariery paszportowej, wyjechał nim z kilkoma oficerami o. Marian Wójcik, franciszkanin z Niepokalanowa, redaktor gazety „Mały Dziennik".

14 września wyjechał również do Rumunii polityczny działacz okresu międzywojennego i emigracyjnego Stanisław Stroński. Jemu to zawdzięczamy określenie, jakie przyjęło się później w bardzo wypaczonej i niechlubnej formie. Pisze L. Moczulski: *Stroński jest auto-*

Południowo-wschodni fragment mapy Polski sprzed 1939 r. Na mapce widoczne Zaleszczyki, Śniatyn, Kuty

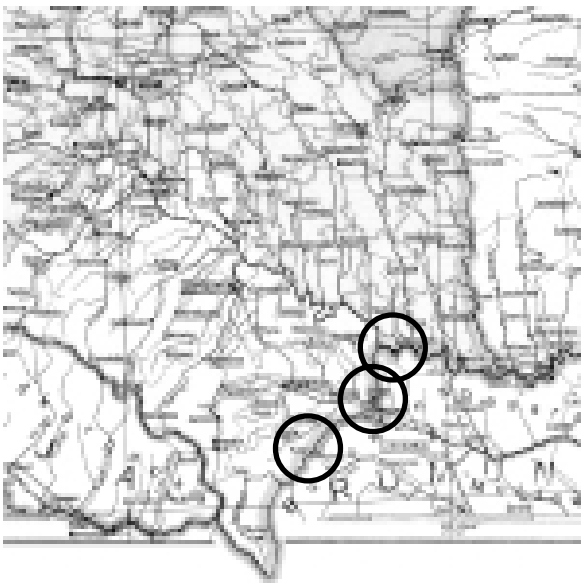

rem głośnego terminu „szosa zaleszczycka", mimo iż większość prominentów II Rzeczypospolitej nie tą drogą właśnie opuściła kraj. Tworząc ten termin Stroński podświadomie oparł się na własnym wspomnieniu: sam wyjechał przez Zaleszczyki z Polski i przypuszczał, że później inni uczynili to właśnie w tym samym miejscu.

Droga ze Lwowa czy Krzemieńca do Zaleszczyk kończyła się na nowym moście, zdążając dalej ku Czerniowcom w Rumunii. Od niej, na 15 kilometrów przed Zaleszczykami, oddzielała się droga na Horodenkę i Kołomyję, czyli szosa *kołomyjska*, a dalej w kierunku Kosowa i Kut. To o n a b y ł a ś w i a d k i e m wydarzeń, jakie przypisuje się Zaleszczykom!

W tym czasie, w rejonie województw tarnopolskiego i stanisławowskiego, odbywała się koncentracja polskich oddziałów wojskowych. A oto, co piszą dyplomaci (*Wrzesień*...):

czwartek, 14 IX, s. 218 (Biddle): *... około południa pan Kukulski przybył do Kut, gdzie minister Beck i jego współpartnerzy z rządu zdecydowali się zatrzymać... prezydent Mościcki i jego gabinet zmienili zamiar zatrzymania się w Zaleszczykach z kilku powodów, z których głównym była decyzja sztabu generalnego, by zlokować się w Kołomyi, a rząd chciał być w pobliżu. Osobiście uważałem, że jeszcze dwa czynniki inne wpłynęły na decyzję rządu, a mianowicie: a) niepokojące doniesienia o dużej koncentracji jednostek zmechanizowanych na południowym zachodzie ZSRR, co wskazywało na możliwość wkroczenia do Polski, b) Kuty były dalej niż Zaleszczyki od granicy rosyjskiej i most na Dniestrze w Zaleszczykach wydawał się bardziej atrakcyjnym celem nalotów niż długi, ale niski most drewniany w Kutach...*

s. 221 (Beck): W *ciągu dnia przybyłem do Kosowa, gdzie dowiedziałem się, że przewidziany jest tam pobyt prezydenta RP i większości ministerstw, wobec czego zainstalowałem się w Kutach. Dowiedziałem się zbyt późno, że przez nieporozumienie korpus dyplomatyczny skierowany został do Zaleszczyk...*

Rzeczywiście zgodnie z zapowiedzią księdza prymasa przybył do naszego domu nuncjusz apostolski abp Filip Cortesi, któremu towarzyszył sekretarz ks. prałat Alfred Pacini. Przez dwa dni w domu moich rodziców mieściła się *Nuntiatura Apostolica Poloniae*. Widziałem w naszym domu licznie przybywających dyplomatów. Towarzyszyłem ks. Paciniemu na pocztę, gdzie nadawał telegramy. Mówił dobrze po polsku. Następnego dnia służyłem nuncjuszowi do mszy św. W południe 15 września żegnalimy z całą rodziną naszych dostojnych gości. Ks. nuncjusz udzielił nam swego błogosławieństwa. Chciał też zabrać mnie ze sobą do Rzymu, ale moi rodzice się nie zgodzili. Może szkoda, a może i nie. Przekonałem się o tym za kilka dni, stając w szeregach konspiracji.

Jak się później okazało, ks. nuncjusz powrócił z Czerniowiec jeszcze do Polski, przez rumuńską Wyżnicę do Kut, gdzie zatrzymały się naczelne władze rządu polskiego.

piątek, 15 IX, *Wrzesień*... s. 230 (Noel): ... *Większość członków korpusu dyplomatycznego akredytowanego w Polsce zdecydowała się przenieść do Bukaresztu. Ambasadorowie Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych, Turcji, a także nasz dziekan, nuncjusz apostolski msgr Cortesi, który zrobił ładny gest nie chcąc rozłączyć się z kolegami, udali się do Kut, innej miejscowości kuracyjnej, położonej również nad granicą rumuńską... nad prawym dopływem Prutu, Czeremoszem...*

W atmosferze takiego napięcia, zdenerwowania i niepewności Zaleszczyki przyjmo-

wały uchodźców szukających schronienia, spokoju, natomiast osoby posiadające paszporty – mostu granicznego na Dniestrze. Dopiero 17 września, w niedzielę, gdy lotem błyskawicy rozeszła się wiadomość o wkroczeniu do Polski wojsk sowieckich, władze rumuńskie otworzyły granice dla wszystkich nie posiadających paszportów. Tłumy ludzi zdążały na most. W południe był tam taki tłok, że nie można było się już cofnąć. W mieście krążyły różne plotki odnośnie do sąsiadów ze wschodu. Byli tacy, którzy rozpowszechniali informacje, jakoby zza Zbrucza szła nam pomoc. Na moście zmarł obywatel zaleszczycki, który widząc, co się dzieje, chciał wrócić do domu. Opuścił miasto burmistrz Hofman z rodziną i dwoma pasierbami, naszymi kolegami Toczyskimi. Jeden z nich po kilku dniach przekroczył Dniestr w nocy i po skontaktowaniu się z ks. Urbańskim wrócił jako kurier do Rumunii. Jeden z moich kolegów, Zbyszek Pawlewski, szedł w gorące południe z plecakiem, niosąc płaszcz zimowy. Poszli i inni na tułaczkę.

dokończenie w następnym numerze

JÓZEF JUZWA, ur. 1922 w Zaleszczykach. Nauka w gimnazjum w Czortkowie, potem (po otwarciu) w Zaleszczykach, tamże matura za okupacji sowieckiej. W 1939 w kospiracyjnej Akcji w Obronie Narodu, udział w pomocy uciekinierom do Rumunii. Wysiedlony z rodziną do Czerwonogrodu, pracował fizycznie, potem, po zajęciu Zaleszczyk przez Węgrów, jako organista; podobnie u św. Marii Magdaleny we Lwowie, gdy w 1942 podjął naukę w tamt. Istytucie Medycznym. Od 1942 w AK, kolportował prasę podziemną do Zaleszczyk. Po 1945 r. w Krakowie podjął studia muzykologiczne na UJ, potem na medycynie. Po ciężkim wypadku i przerwie w studiach kontynuował je w Śląskiej AM. Jako lekarz osiadł w Bytomiu, pracował w szpitalu klinicznym, potem w górniczej służbie zdrowia. Zasłużony w akcjach ratowniczych pod ziemią, odznaczony. Doktorat med. 1968, obecnie na emeryturze. Przez całe życie grywał na organach w niedziele, w tym dla ks. Popiełuszki. W 1980 r. organizował „Solidarność" w bytomskim szpitalu. Zainspirował spotkania zaleszczykowian. Autor wielu publikacji m.in. na temat swojej *małej ojczyzny.*

ZALESZCZYCCY BARONOWIE

Elżbieta Turnau

Na początku XIX wieku majątek Zaleszczyk, tj. około 4000 morgów gruntu z pałacem wystawionym przez Poniatowskich, gorzelniami i młynami, należał do Marcina Janickiego. Zadłużoną posiadłość nabył w roku 1808 Ignacy Brunicki – przedtem Izaak Brunstein, od niedawna też właściciel dóbr Uhryńkowce i Chartanowce (na płn. od Zaleszczyk). Ten nasz przodek na pewno potrafił robić pieniądze, od niego pochodziło bogactwo rodziny Brunickich. U początków fortuny leżały m.in. intratne dostawy dla wojska w czasie wojen napoleońskich. Brunstein wraz ze swoim wspólnikiem, Ormianinem Agopsowiczem, dostarczali także konie dla Bawarii. W ogólnym kryzysie, jaki był następstwem wojen tamtego czasu, rząd bawarski pozostał im dłużny znaczną sumę. Obaj wierzyciele spędzili całe tygodnie w Monachium, chodząc od jednego ministra do drugiego, ale bez skutku. W końcu – zamiast pieniędzy – zaproponowano Agopsowiczowi tytuł baronowski. Ormianin, polski szlachcic i ziemianin, nie odniósł się do tego z entuzjazmem. Inaczej Brunstein, dla którego mogła to być szansa. Wykorzystał sytuację, pokonał przeszkody – i na Podole wrócił jako baron Brunicki.

Był jednak Ignacy Brunicki baronem tylko bawarskim, a tego tytułu w Austrii nie uznawano. Ale trafił się sprzyjający przypadek. Cesarz Franciszek II postanowił objechać Galicję, podróż miała prowadzić z Krakowa przez Lwów, Tarnopol do Czerniowiec. Postoje i noclegi wyznaczone zostały w większych siedzibach magnackich, jeden wypadł w Zaleszczykach. Powiadomiony o tym Brunicki pośpieszył do Wiednia, przekupił

kogo trzeba, a następnie kazał skopiować – w specjalnie w tym celu przebudowanej części pałacu zaleszczyckiego – pokoje zamieszkiwane przez cesarza w jego wiedeńskiej rezydencji. Monarcha przybył, zachwycił się, i nazajutrz przed wyjazdem zapragnął pozostawić dowód swego uznania i łaski. Skaptowany uprzednio przez Brunickiego starosta podsunął cesarzowi myśl uznania tytułu bawarskiego, co też nastąpiło.

Pałac Turnau'ów w Zaleszczykach

W wieku sześćdziesięciu kilku lat był Ignacy Brunicki jednym z najbogatszych ludzi w Galicji, posiadaczem trzech wielkich kluczy: Uhryńkowce, Zaleszczyki i Podhorce. W 1818 r. nabył jeszcze od skarbu państwa klucz Płazów koło Lubaczowa, z pałacem w Rudzie Różanieckiej.

Ignacy miał czterech synów i dwie lub trzy córki. Najstarszy syn, Herman, dziedzic Płazowa, ożeniony z Rozalią Żygielską, miał ośmioro dzieci, w tym Ludwikę, która w roku 1828 wyszła za mąż za Jakuba Turnaua, dziedzica dóbr pod Dobczycami. Wnuk Jakuba i Ludwiki, August Turnau, ożenił się z piękną i energiczną dziedziczką Zaleszczyk (swoją kuzynką), Stellą Wattmann-Maelcamp-Beaulieu, wnuczką brata Ludwiki, Jana Antoniego Brunickiego. Ojciec Augusta, Józef Brunicki, ożeniony z Węgierką Klotyldą Fejervary, był feldmarszałkiem w wojsku austriackim. Oboje z żoną słabo mówili po polsku, ale trzymali bonę Polkę, aby nauczyła małego Augusta swego języka.

August Turnau, kiedy żenił się ze Stellą, miał około 40 lat i był austriackim pułkownikiem. Na życzenie żony wystąpił z wojska i zamieszkał w Zaleszczykach. Jednak po wybuchu I wojny – znowu na żądanie żony, która była austriacką patriotką – wrócił do wojska. W Zaleszczykach zawsze rządziła Stella, nic więc dziwnego, że August odziedziczywszy w 1920 roku, po swojej cioteczne wujence, majątek w Przeworskiem, zamieszkał tam na stałe.

Dziećmi Stelli i Augusta Turnauów byli Klotylda (Oky) i Gotfryd (Fred). Oky wyszła za znanego krakowskiego laryngologa, Eugeniusza Klassę (-Brunickiego). Fred studiował w latach 1923–27 rolnictwo na Uniwersytecie Jagiellońskim. Po śmierci Stelli w 1938 r. odziedziczył Zaleszczyki, nie długo jednak cieszył się swoim spadkiem. Na początku II wojny przedostał się do Anglii i tam jako oficer wojsk lotniczych walczył aż do jej zakończenia. Ożenił się z Angielką, przeniósł się do Rodezji, gdzie pracował jako urzędnik. Ostatni dziedzic Zaleszczyk zmarł w Anglii w 1978 roku.

Spisane według *Kroniki rodzin Kopeckich i Turnauów* autorstwa K. Kopeckiego, A. Bogdańskiej-Zarembiny i E. Sawickiej; fragmenty za *Wspomnieniam*i Mariana Rosco Bogdanowicza, Kraków 1959.

ELŻBIETA TURNAU, ur. w majątku Mikulice k. Przeworska, w rodzinie związanej ze Lwowem. Po utracie rodzinnego domu w 1944 r. i paroletnim pobycie w Rzeszowie zamieszkała w Krakowie. Tu ukończyła szkoły oraz studia biologiczne na UJ. Pracuje w Instytucie Nauk Geologicznych PAN, obecnie jest profesorem. Przedmiotem jej badań są zarodniki wymarłych roślin.

ERRATA

W numerze 4/01 znalazł się przykry błąd – w dodatku w tytule artukułu o Marii Bujakowej na str. 11. Tytuł powinien brzmieć: LWOWIANKA TWÓRCZYNIĄ PODHALAŃSKIEJ TKANINY (napisano: POHALAŃSKIEJ). Winny jest redaktor naczelny, który sam sobie udzielił nagany i gorąco przeprasza Czytelników.

SKOLE SKOLE MOJA MIŁOŚĆ

Zofia Dudrówna

Już pod koniec lipca 1944 roku wiadomo było, że front po załamaniu się pod Tarnopolem zbliża się do nas w szybkim tempie. Niemcy zaczęli budować umocnienia i zapory. Masy żołnierzy niemieckich w opłakanym stanie przewalały się przez Skole w kierunku Węgier. W miasteczku zapanował zamęt frontowy.

Do naszego ogromnego, pięknego ogrodu i sadu cofający się Niemcy wpuścili olbrzymie stado – chyba 150 krów. Wygłodniałe zwierzęta rzuciły się do obgryzania wszystkiego, co było na ich drodze. Wszystkie młode drzewa owocowe, krzewy porzeczek, szpalery kwiatów, grządki z jarzynami – wszystko po kilku godzinach zamieniło się w jedno wielkie klepisko.

W kierunku Węgier uciekali nie tylko obdarci żołnierze niemieccy, ale także Ukraińcy, którzy wysługując się cały czas okupantom niemieckim, zdawali sobie sprawę z tego, co ich czeka po przyjściu sowietów. U nas w domu koczowali nie tylko prości żołnierze Wehrmachtu – po 40 osób naraz, ale na górze zajęli sobie kwatery żandarmi frontowi. Oni to zaczęli nagabywać mojego brata i wmawiać mu, że czeka na sowietów. To wystarczyło, żeby młodego chłopca zabrać gdzieś lub rozstrzelać. Spakowaliśmy mu więc najpotrzebniejsze rzeczy i wysłaliśmy go do znajomych pań, u których nie było żadnych mężczyzn, ażeby zszedł z oczu żandarmom. Dom tych pań był oddalony od nas około kilometra, położony blisko kościoła.

Ulotki AK-owskie, które do nas z rzadka docierały, nakazywały pozostanie na miejscu, aby nie opuszczać ziem wschodnich. Wiadomo było zresztą, że front będzie posuwał się dalej na zachód, więc po co skazywać się na dobrowolną tułaczkę na Węgry (inne drogi ku zachodowi były już odcięte), skoro można przesiedzieć front we własnej piwnicy. My – to znaczy ja z rodzicami, a brat u znajomych, również w piwnicy, skąd po przejściu frontu miał wrócić do domu.

Okazało się to jednak nie takie proste. Groza wisiała w powietrzu, poprosiliśmy więc naszych księży o odprawienie mszy św. w intencji szczęśliwego przetrwania frontu, który zbliżał się nieubłaganie. Msza miała się odbyć 15 sierpnia, w święto Matki Boskiej. Słychać już było detonacje wysadzanych torów i mostów, samoloty sowieckie krążyły zrzucając bomby, my zaś znosiliśmy do piwnicy co się tylko dało, by tam przetrwać to piekło.

Tymczasem 8 sierpnia wkroczyli do nas żandarmi z rozkazem opuszczenia domu w ciągu godziny. Nie wiadomo co brać, popędzają nas, żeby szybciej się pakować, bo za chwilę wysadzą dom w powietrze. Nie wiedzieliśmy, co chcą z nami zrobić. W końcu spędzili nas z tobołkami, z całą masą ludzi, na plac koło „Sokoła". W tym czasie podpalili tartak i ciągnące się kilometrami składy desek – piekło na ziemi. I znowu nas przeganiają.

Z ludzi, którzy mieli ręczne wózki, sformowali ogromną kolumnę i ten smutny pochód popędzili w stronę Węgier. Takich zaś jak my, którzy wzięli z domu tyle, ile się dało unieść w rękach, skierowali na dworzec kolejowy, gdzie czekał już transport wagonów towarowych, wyładowany – jak się okazało – bombami i paczkami z amunicją. Załadowali nas na te bomby, doprowadzając ciągle nowych ludzi. Domy pod lasem wylatywały już w powietrze. Wypatrywaliśmy rozpaczliwie mego brata, ale go nie było wśród doprowadzanych. Transport ruszył – ostatnie spojrzenie na nasz czerwony dach, wyłaniający się zza pagórka. Dookoła szloch stłoczonych w wagonach ludzi, straszliwe zmęczenie po upalnym dniu i przeżyciach nerwowych, trudnych do opisania.

Nasz ogromny transport z amunicją i ludźmi powoli ruszył i nad ranem znaleźliśmy się w Świętosławiu, wąskim przesmyku między górami. Z jednej strony kamie-

niołom, niżej szosa i rzeka Opór. Po drugiej stronie rzeki tor kolejowy i góra pokryta gęstym lasem. Pod tą zalesioną górą nasz transport zatrzymał się. Z tamtej strony, pod kamieniołomem, stało niemieckie działo i strzelało ponad naszymi głowami w kierunku *ruskich*, którzy już podchodzili pod Skole. Wykorzystałam ten moment i rzuciłam się w krystaliczny nurt rzeki, walącej z szumem po skałach. Nie mogłam sobie odmówić tej orzeźwiającej kąpieli po dniu straszliwych nerwów i potu (żeby uratować jak najwięcej rzeczy, miałam na sobie przez cały dzień pięć płaszczy, jeden na drugim). Do rzeki wzięłam jedyne mydło zabrane z domu. Na moment zapomniałam, gdzie jestem, pławiąc się pod cudownym wodospadem. Wtem straszliwy huk przeszył powietrze – pocisk wpadł do rzeki niedaleko mnie, w górę wyleciały kamienie i fontanny wody. Była to odpowiedź ruskich na strzelanie Niemców. Rzuciłam się do ucieczki, przewracając się na śliskich kamieniach, a przy tym zgubiłam to jedyne mydło, uratowane z domu. Strata była nie do odrobienia!

Skole, widok ogólny

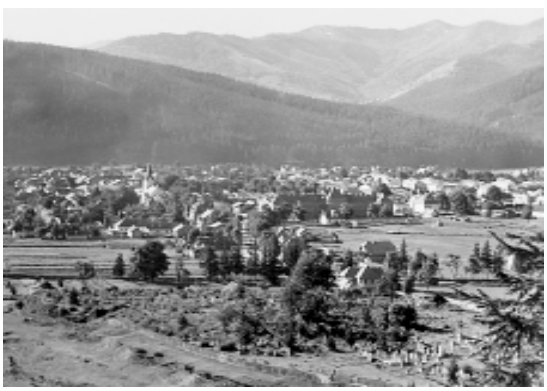

Niebo było bez chmurki, utrzymywała się przepiękna pogoda. Nasz transport toczył się dalej w kierunku Węgier. Zatrzymywał się często, gdyż Niemcy zaopatrywali się w amunicję oraz podkładali bomby pod mosty. Sowieci jednak szybko wypatrzyli ten ogromny transport. Zgroza! Zaczynają się naloty na nasz pociąg. Równocześnie słyszymy potworną kanonadę od strony Skolego – walą w nie armaty jednych i drugich. Nieszczęsne Skole! Tam został nasz jedyny syn i brat. Modlimy się o cud do Matki Boskiej. Naloty na pociąg nasilają się. Pilnują nas kałmucy w niemieckich mundurach, ale i oni uciekają w krzaki, gdy nadlatują ruskie myśliwce. Moi rodzice postanowili nie ruszać się z wagonu. Jeżeli w nas trafią, wszystko wyleci w powietrze i zginiemy, Najważniejsze, by nie zostać kalekami. Nasze trzy głowy okręcamy poduszką, żeby nie słyszeć huku, odmawiamy *Pod Twoją obronę*... Po dachu dudnią kule z karabinów maszynowych, bomby spadają po jednej i drugiej stronie.

Ale w nasz transport nic nie trafiło! Wśród ludzi, którzy uciekli z wagonów i kryli się w zaroślach, byli ranni. Inni nie wytrzymali nerwowo i uciekli do lasu, tam jednak znaleźli śmierć od ukraińskich noży. Tak właśnie zginęły rodziny Urbańskich i Kunkiewiczów. Gdy przejeżdżaliśmy przez wieś Tarnawkę, podczas nalotu zginęła 16-letnia Ewa Tarnawska, najstarsza córka prezesa sądu w Skolem, zamordowanego wcześniej, w 1940 roku, przez bolszewików. Jego żona z trójką dzieci jechała razem z nami. Opiekowała się nimi wierna służąca, Rusinka Paulina. Podczas trwającego nalotu odważyła się zanieść w prześcieradle zabitą Ewę na odległy od torów cmentarz i pochować ją w wykopanym przez siebie grobie.

Naloty trwały codziennie. Gdy jedne samoloty odlatywały, inne przylatywały. Trudno uwierzyć, ale ani jedna bomba nie trafiła w ten pociąg-widmo. Najgorsze miało dopiero nadejść. 15 sierpnia przeżyliśmy najgorsze bombardowanie. Było to piekło, ale nastąpił cud Matki Boskiej. Już po wojnie dowiedzieliśmy się, że tego właśnie dnia księża skolscy, mimo szalejących walk frontowych, ukryci w piwnicy pod kościołem odprawili mszę św. przez nas na ten dzień zamówioną. Po tym koszmarnym bombardowaniu nasz pociąg wjechał w Ławocznem do dwukilometrowego tunelu na granicy polsko-węgierskiej. Tam nam już nic nie groziło.

* * *

Nie będę opisywać naszych dalszych losów w transporcie przez Węgry do obozu Strasshoff koło Wiednia. I potem, jak zna-

leźliśmy się w Nadrenii w charakterze przymusowych robotników. I jak w kwietniu 1945 r. witaliśmy wkraczających Amerykanów. Moim celem jest bowiem w tym krótkim wspomnieniu nakreślenie losów Skolego i jego kościoła.

Jak opowiedziałam wcześniej, wszyscy ludzie ze Skolego zostali ewakuowani, nieliczni uciekli do lasu. Skole zostało wyludnione. Po kilku tygodniach walk Niemcy wycofali się. Najpierw wkroczyli partyzanci sowieccy – górami, ponieważ wąska przełęcz na tzw. Kłódce została przez Niemców tak zabarykadowana, że czołgi się tam nie mogły przedrzeć. Dowiedzieliśmy się o tym z relacji mojego brata, który – tak, jak my – cudem uniknął śmierci. A groziła mu przede wszystkim ze strony Niemców za to, że wbrew zakazowi – zadekowany w piwnicy – pozostał, a także ze strony szalejących wtedy band ukraińskich. A wreszcie ze strony sowietów, którzy po wkroczeniu przeszukiwali piwnice, tropiąc *szpionów* i *germańców*. W ruinach Skolego znaleźli tylko księży w kościelnych piwnicach oraz rodzinę i mego brata w sąsiedztwie kościoła. Wszyscy razem zostali przez partyzantów *ruskich* zabrani i przez lasy przeprowadzeni 20 kilometrów na placówkę NKWD w Synowódzku. Tam przeszli wiadome przesłuchanie, po czym księży po pewnym czasie wypuszczono na wolność. Mojego brata zabrano do obozu rekrutów w Majdanku – na miejscu niemieckiego obozu koncentracyjnego. Po wielu ciężkich przeżyciach znalazł się w oddziałach polskich, wkraczających do palącej się jeszcze po powstaniu Warszawy. Dzięki Bogu uszedł z tej wojny z życiem, a my pierwszym transportem repatriacyjnym wróciliśmy z Niemiec do Polski.

Stacja Beskid, ostatnia na linii Stryj–Skole–Sławsko–granica węgierska (wcześniej czechosłowacka)

Niebawem odszukaliśmy się, a wtedy mój brat opowiedział nam taki oto epizod: gdy w czasie walk frontowych w Skolem nastąpiła chwilowa cisza, przekradł się do kościoła, i chcąc zobaczyć, co się z nami dzieje, wyszedł na wieżę kościelną. Przez lornetkę usiłował dojrzeć nasz dom, ale domu już nie było. Ledwo zdążył wrócić do piwnicy, zaczął się ostrzał i wieża runęła.

* * *

Od tych tragicznych wydarzeń minęło ponad pół wieku, ale ja już nigdy potem nie byłam w Skolem, z którym wiążą się wspomnienia naszego pięknego dzieciństwa. Myślę, że serce by mi pękło, widząc ruinę pracy całego życia mojego wspaniałego Ojca, który poświęcał bezinteresownie swój czas i energię, aby jako burmistrz Skolego [Karol Dudra – przyp. red.], doprowadzić do rozkwitu to pięknie położone górskie miasteczko. Bardzo je ukochał, był jego honorowym obywatelem. Niech więc zostanie w moich oczach i wspomnieniach, a czasem także w snach, to Skole, które było...

ZOFIA DUDRÓWNA, ur. w Skolem. Gimnazjum i matura w Stryju. Po wojnie w Krakowie ukończyła Wyższą Szkołę Muzyczną (późniejszą Akademię Muzyczną) w klasie fortepianu, magister sztuki. Pracowała w szkolnictwie muzycznym, później w Akademii Muzycznej, obecnie na emeryturze.

Pani Zofia pisze wspomnienia. Obiecała, że udostępni nam także tę część, która będzie dotyczyć kontaktów Jej rodziny z domem na Storożce, czyli rodziną Młodnickich, która w Skolem spędzała wakacje i podejmowała ludzi literatury i sztuki. Czekamy niecierpliwie.

Beata Obertyńska

O MAMINEJ STOROŻCE

Przyparta okolem do podnóża Karpat, skolska dolina Oporu musiała chyba od początku swego istnienia robić wrażenie olbrzymiej błękitnej miski o stromych, świerkowym lasem porosłych ścianach.

Rzeka – kilkoma pętlami rzucona na jej dno – parła z gór suta, zaśpieszona... W roztopy rozlewała się buro po całej dolinie, w susze prześlizgiwała się szmaragdowym grzbietem między białymi od spieki kamieniami brzegów, które z kolei zima zakuwała w lód. Okrążywszy Skole[1] szerokim łukiem, otarłszy się o północny i wschodni skłon ku rzece osuniętego lasu, Opór przed samym opuszczeniem doliny wpadał znienacka na zakręt, a ten przekazywał go wąskiej gardzieli wgniecionego między spadziste zbocza jaru. Wpadał weń zły i zbuntowany, pobielały od pian, sprężysty od szumu i prąc dalej kamienistym łożyskiem – pod Dębiną dopiero wyszarpnąwszy się z cieśni – odłapywał kolor i dech...

A tam daleko, na przeciwległym krańcu równiny, rozsiadło się Skole, mizerna jeszcze wtedy i głęboko prowincjonalna mieścina, rozpłatana na pół „cesarską drogą" na Węgry. Gościniec ten, biegnąc od Stryja na południe, wypływał na skolską dolinę dosłownie w tym samym miejscu, w którym – od przeciwnej strony prąc z gór ku Stryjowi – Opór wlatywał w jar. Tyle że droga szła wysokim kabłąkiem terenu, a rzeka szumiała nisko pod nią, dnem lesistego parowu. I tak pewnie „chodziły koło siebie" od początku. Nie było innego sposobu dostania się przez górzyste pasmo Karpat na Węgry jak właśnie tym szlakiem. Najpierw wywęszyła go rzeka, a potem wszędzie niemal równolegle do jej biegu ludzie zbudowali drogę.

Nabyty przez dziadziów[2] spłacheć gruntu leżał w najbliższym sąsiedztwie owego wąskiego przełyku rzeki. Był częścią sporej pochyłości, spływającej łagodnie od strony lasu, a urwanej znienacka na samym obrzeżu jedynego w okolicy płaskowzgórza. Rozgładzone na skłonie pochyłości wąskie paski chudych górskich owsów i zagoniki „baraboli" docierały dotychczas aż po krawędź urwiska. Teraz kupiona przez dziadziów parcela położyła się im w poprzek, odcięła im dostęp do obrzeża stoku i sama usadowiła się na wysokim gzymsie terenu. Za sobą miała więc pasiak cudzych zagoników, przed sobą na dnie wąwozu bity gościniec, a przed sobą już tylko rzeką rozsrebrzony, szeroki, otwarty świat.

Boże! Co za świat! Opór tym swoim ostatnim zbuntowanym zakrętem podpełzał tak blisko pod Storożkę, że się jego nieustanny szum wdychiwało nieświadomie, razem z powietrzem.

A dookoła nic, tylko jak okiem sięgnąć – garby, pasma i płynny kontur zachodzących na siebie gór, zrazu zielonych, potem granatowych, wreszcie błękitnych, roztartych potem przez oddal w mętny opal, w pastelową mgłę... I to powietrze! To jedyne na świecie, wonne, przeczyste, błogosławione powietrze!

O kolei, która niebawem przeciąć miała wzdłuż cały „widok" przed Storożką, ani się jeszcze śniło komu... Pociągi dochodziły ledwie do Stryja, skąd dyliżansem – takim prawdziwym, grającym na trąbce – lub najętymi końmi ruszało się na południe, ku małym, na sztabowych chyba tylko mapach wymienianym miejscowościom, jak Lubieńce, Synowódzko, Dębina czy pierwsza za Skolem: Demnia, Świętosław i dalej. Storożka leżała mniej więcej w połowie drogi między Dębiną a Skolem...

Ta ówczesna Dębina – czyli stara karczma z zajazdem, parę przydrożnych domeczków i kruszące się resztki dawnego folwarku – nie robiła wcale wrażenia „miejscowości". Była właściwie tylko nazwą. Wzięła ją w spadku po wspaniałych odwiecznych dębach, krórych niedobitki rozrzucone już tylko z rzadka po łąkach nad Oporem dotrwały jeszcze mojego dzieciństwa. [...]

Dom na Storożce

Lato, kiedy budowa domu była już w toku, spędzili dziadziowie w najbliższym jej sąsiedztwie. Dębina, choć w praktyce najbliższa, nie wchodziła w rachubę z powodu braku możliwych na lato mieszkań. Samo Skole krztusiło się białym od gościńca rozwlekanym pyłem, stanęło zatem na Demni, nikłym jeszcze wtedy, wokół tartaków Ryszarda Schmidta narosłym skupisku domków i domeczków. W tejże więc Demni najęli dziadziowie mieszkanie i przez całe lato dochodząc spacerkiem na Storożkę tuczyli „pańskim okiem" radośnie rosnący drewniany dom nad urwiskiem. [...]

Jak długo trwała budowa Storożki, nie wiem, przypuszczam jednak, że już na następne lato zjechali wszyscy z Zimorowicza pod własny, biały jeszcze od młodych gontów dach.

Jeśli chodzi o sam dom, to doprawdy trudno o coś prostszego w założeniu: podłużne, deskami z zewnątrz obite i gontem nakryte pudełko, z oknami, gdzie należy, i z drzwiami, gdzie się patrzy. Na całą południową długość domu kryta, pod okap dachu cofnięta weranda; dwa kominy, dwie kadzie i jedna drabina. Doprawdy – trudno mniej.

Wnętrza wysokie, bielone. Także bielone kamyczkowe piece, na tyle właśnie od ściany odsunięte, aby dzieci, przepychając się tamtędy dla zabawy, mogły sobie na pewno ubielić plecy. Piecom tym późną jesienią czarownie grało w nosie. Cichutko, rzewnie, ciągliwie...

Tylko dwa stryszkowe pokoiki były drewniane. Niskie jak pudełka zapałek, złociły się od żywicznych desek, pełnych znajomych już potem atłasowych słojów, pęknięć i sęków. Schodki na górę wiodły stromsze prawie od drabiny, a zaraz nad nimi stroszyła się już szurpata lewa strona gontów albo szeroko rozprzestrzeniona biel schnących na sznurach prześcieradeł.

Sprzęty Storożka miała sosnowe, nielakierowane, tak samo jak podłogi. Z latami dopiero namuliło pod dach trochę „lepszych" mebli i obrazów, ale zawsze takich, które dobrotliwie harmonizowały z drzewno-wapiennym tłem. Na lato przyjeżdżały zawsze z Zimorowicza (a potem z Zaświecia) kilimki, dywany i różne szmatki-makatki, którymi na czas pobytu zasnuwało się bielone kąty i przyrzucało łóżka, żeby było kolorowo i ładnie.

Nic zresztą łatwiejszego na takim prostym tle jak ładność! Ot, wiecha gencjany w glinianym dzbanie, pęk jarzębiny przypięty skosem nad drzwiami, gałąź sosny z ciężarkami zielonych jeszcze szyszek... Wszystko to razem było oczywiście bardzo letniskowe, bez śladu pretensji czy udawania, ale wygodne, mieściwe i najdroższe! [...]

I tak się zaczęła w życiu Mamy Storożka. Od dziewiątego roku życia [czyli od 1882 – przyp. red.] do pierwszej wojny światowej wszystkie letnie, a czasem jesienne miesiące spędzała zawsze w tym najmilszym jej zakątku świata, który był dla niej tym, czym dla ptaka powietrze, a dla ryby woda. Naprawdę i do dna szczęśliwa była dopiero tam, owiewana tamtym powietrzem, kołysana tamtymi wichrami, wsłuchana w głos tamtej zielonej, rodzonej rzeki, której szum pragnęła słyszeć przy konaniu... [...]

Wycieczek było tyle, ile wzgórz przed oczami. To znaczy – mogło ich być tyle, ale z niewiadomych mi bliżej przyczyn na niektóre z nich „chodziło się" tylko oczami, podczas gdy inne musiały być z urzędu przy-

najmniej raz w roku odbyte naprawdę. Inaczej lato nie byłoby ani pełne, ani ważne...

Do takich nawiedzanych oczami tylko należała na przykład Tokarnia – fiołkowy stożek na palonych złotościach letnich zachodów, łagodna lesista Tokarnia, zamykająca sobą faliste dno horyzontu. Nie słyszałam, aby ktokolwiek ze Storożki był kiedy na Tokarni. Nie było zwyczaju...

Wycieczka na Zełemin, lesisty szczyt po tamtej stronie Oporu, była łatwa i najbliższa, opłacająca się w dodatku szerokim, prawie z lotu ptaka oglądanym widokiem na całą skolską dolinę, dla przybyszów ze Storożki tym jeszcze osobliwym, że rozciągającym się na „ich" połowę lasu i gór, a zatem najmniej ich oczom opatrzoną i znaną.

A potem była Paraszka, bodajże najwyższy ze skolskich szczytów – poważna już, całodzienna piesza wycieczka. Broniły do niej dostępu trzy garby wysokich Korczanek, które trzeba było kolejno i z coraz większym trudem pokonywać, aby się wreszcie dostać na szczyt samotnie nad okolicą królującej Paraszki.

Wysokim „c" wakacji została jednak na zawsze jazda do Bubniszcz, zwykle w kilka wozów, z całym ładunkiem prowiantu, kociołków, koszów i naczyń, daleka całodzienna wycieczka, z której wracało się już wygwieżdżoną nocą po ledwie rozeznawanej przed końmi białawej smudze gościńca. Bubniszcze opowiem gdzie indziej, jako że mają prawo do osobnej wzmianki w maminym życiu [i my w innym numerze przekażemy – przyp. red.]

Podobną, choć nie tak już ważną jak tamta, była jazda do Rozhurcza. Też końmi, też promem przez rzekę, a potem także przez bukowy las. Trzeba było tylko dobrze znać drogę, aby trafić do maleńkiej, w lesie zatajonej, kamiennej, niewiadomego kultu świątynki? pustelni? zbójeckiej kryjówki? – któż zgadnie... Maleństwo to, trochę tylko większe od dużej chałupy, wybrzuszone, bochenkowate, miało na dwóch niziutkich poziomach kilka w skale wykutych izb, z których największa z rodzajem ofiarnego głazu czy ołtarza w głębi. Prócz tego kilka zabawnie głębokich, wąziutkich okienek i kilkanaście w kamieniu wydłubanych schodeczków.

Rozhurcze można tylko opowiedzieć. Dziadzio próbował je rysować, a my po latach fotografowaliśmy je do upadłego, ale nic z tego nie wyszło. Dopiero gdyby jakiś helikopter zawisnął jak koliber przed zboczą, a jakiś uprzejmy olbrzym na boki odgiął las, można by zrobić uczciwe zdjęcie Rozhurcza i pokazać światu to cudeńko. Ale tak...

Rok, w którym ck władze przystąpiły wreszcie do budowy linii kolejowej od Stryja po Ławoczne, był dla Skolego rokiem przełomowym.

Dla Storożki oczywiście też. To zupełnie tak, jakby się miało zrobić ogromną zakładkę na mapie i przyciągnąć Lwów pod sam storożański szkarp. Nie całkiem... ale prawie! Cóż to za ułatwienie! Cóż za oszczędność czasu! O ileż mniejsze zmęczenie! Wsiąść we Lwowie i wysiąść w Skolem, bez przesiadek, bez dyliżansów, bez najmowanych koni, bez strachu przed ulewą... Nie obeszło się oczywiście i bez żalu, że widok przed domem zostanie na całej szerokości przecięty kolejowym nasypem, że bliski huk przelatujących pociągów wypłoszy ciszę, zagłuszy szum rzeki, a w nocy nie da spać, perspektywa jednak stacji na miejscu i tysiąca innych z tym związanych udogodnień robiła swoje.

Widok ze Storożki na dolinę Oporu i Bieszczady Skolskie

Budowa linii kolejowej szła etapami. W jesieni roku 1885 dociągnięto ją do Skolego, do Ławocznego jednak dowlokła się dopiero w dwa lata później. Kucie dwóch tuneli i budowa długiego wiaduktu na trasie musiały zwolnić tempo. Wreszcie w roku 1887 otwarto całą linię od Stryja aż po węgierską granicę[3].

Trzy lata budowy kolei były w życiu miasteczka erą historyczną. Pomijając niewątpliwe późniejsze korzyści, już wtedy, w trakcie robót, Skole zaczynało rosnąć.

Pierwszym widomym tego znakiem był korzenny sklep, który przy samym rynku założył Niemiec Wagner. Niebawem głąb za sklepem zmieniła się w pokój do śniadań, gdzie schodziła się co dzień inżynierska elita na piwo, śledzika czy plotki. Interes ruszył z miejsca jak po maśle. Wagner tylko zacierał ręce, kłaniał się, dowcipkował, poganiał personel. Trzeba było dobrać chłopca do pomocy; trzeba było raz i drugi dokupić talerzy i szklanek – tych imponujących, ciężkich, całych w szklane wyboje i dołki, uchatych „halb" na piwo... [...]

Pod niejednym też dachem niejedna rodzina zgarnęła się ciaśniej do kupki, by móc choć jeden pokój wynająć. Popyt na kwatery był, rzecz jasna, ogromny i można się było drożyć nie na żarty. Nie bez tego, że wypadło przy wynajmie coś z urządzenia dokupić – jakąś kapę na łóżko, dywanik czy firanki, bo o kwiatach pod oknami już nawet nie mówię... Skole porastało w piórka, piękniało. Po świeżym, gliną złocącym się nasypie łaziły ludzkie mrówki. Tor rósł.

Biurko Maryli Wolskiej w domu na Storożce

Wszystkie wyższe stanowiska przy budowie toru obsadzone były wyłącznie przez Polaków[4], do samych robót używano przeważnie „sezonowych", sprowadzanych z Czech, Węgier, a nawet z Rumunii. W miarę posuwania się robót klecono dla nich wzdłuż trasy baraki, do których niektórzy przyjeżdżali na lato z rodzinami. Pamiętam z opowiadań, że kiedy się roboty podczołgały pod Storożkę, z tychże baraków przyswoiła się jednego lata jakaś dziewczynina, którą dwunastoletnia Mama bardzo polubiła i z którą bawiła się doskonale, choć się z nią żadnym językiem porozumieć nie mogła. Mała smażone kartofle nazywała „krumple" i na jej pamiątkę słowo to jawiło się czasem dla żartu w naszym domowym kulinarnym słowniku.

No, a potem wszystkie przyjazdy i wyjazdy stały się o tyle prostsze i łatwiejsze! Świat naprawdę podpłynął pod Storożkę. Jednym z pierwszych, którzy z tego łatwego teraz dojazdu skorzystali, był Ujejski, chrzestny ojciec Mamy. Od lat prowadził bardzo ożywioną z babcią korespondencję, że się jednak z Pawłowa rzadko ruszał, osobiście znali się raczej przelotnie. W kumy po starej przyjaźni poprosił go dziadzio, potem brakło jakoś sposobności do częstszego stykania się, tak że całe ich kumostwo wyładowywało się w listach. Wreszcie taki stan rzeczy znudził się starszemu panu i teraz, gdy można to było zrobić bez łamanych sztuk, postanowił odwiedzić dziadziów w ich górskim, z listów tylko znanym mu ustroniu.

I tak we wrześniu w roku 1887, na same swoje imieniny (Kornela jest czternastego), zjawił się w Skolem, gruby, siwy, z torbą pełną konfitur i z szarym parasolem wetkniętym za rzemyki walizy. Kochany, swojski starszy pan, wcale nie żaden biblijny prorok o rozdartej szacie – prosty, gorący, pełen ciętości i humoru, wygrywający na fortepianie szalone polki i mazury, które nie tylko sam ad hoc komponował, ale i które gubił ad hoc w zawierusze siarczystego rytmu i nawale zalewających go melodii. Rzadko

kiedy umiał któryś z nich powtórzyć czy zagrać dwa razy tak samo. [...]

Wiem też, że którejś z tych jesieni – bo zawsze przyjeżdżał we wrześniu – zjechał się na Storożce z Karolem Mikulim[5]. Łatwo sobie wyobrazić, jak często w czasie ich wspólnego pobytu dom, sam drewniany jak wiolonczela, dygotać musiał od śpiewu i muzyki. [...]

Fragmenty wspomnień Beaty Obertyńskiej pt. „Quodlibecik" (Maryla Wolska, Beata Obertyńska, „Wspomnienia", Warszawa 1974)

---

1 Hasło *Skole* zamieściliśmy w *Słowniku* w CL 3/96, *Skolszczyzna* w CL 3/97, a *Opór* w CL 2/2000.

2 *Dziadziowie* autorki, a rodzice jej matki, Maryli Wolskiej, to Karol Młodnicki, malarz, i Wanda z domu Monne, niegdyś narzeczona Artura Grottgera.

3 Budowę tej i dwóch innych linii przez Karpaty opisał na łamach „Semper Fidelis" 2/92 Andrzej Rybicki z krakowskiego Muzeum Historii Fotografii.

4 Chodzi o to, że linię kolejową, tak jak i inne obiekty w Galicji tych czasów, budowali sami Polacy z Galicji, a nie Austriacy. Obecnie narzuca się wersję, że to co stworzono tam w XIX wieku (aż do I wojny) jest dziełem Austriaków, a to nieprawda. Niestety dzisiejsi Polacy nie wyczuwają tego fałszu.

5 Karol Mikuli (1819–97, uczeń Chopina), pianista, dyrygent, kompozytor, pedagog. Przez pół wieku był centralną postacią życia muzycznego Lwowa. Współtwórca polskiej szkoły pianistycznej.

BEATA OBERTYŃSKA, z domu Wolska (1898––1980) ur. w Skolem. W 1933 zdała egzamin w Państwowym Instytucie Sztuki Teatralnej w Warszawie, przez cztery lata grała w teatrach lwowskich. Była równocześnie poetką (pierwszy tomik: *Pszczoły w słoneczniku*, 1927), powieściopisarką (pierwsza powieść: *Gitara i tamci*, 1926), nowelistką. W 1940 r. deportowana na *nieludzką ziemię*, a po po pwstaniu tam Armii Polskiej, była czynna w Pomocniczej Służbie Kobiet. Od 1944 w Londynie, kontynuowała działalność literacką. Pozostawiła cały szereg tomików poezji i prozy (m.in. *W domu niewoli*, 1946). Pośmiertnie wydano *Wspomnienia* jej i jej matki, poetki Maryli Wolskiej.

Archiwum

ZACZĘŁO SIĘ W CZARNOHORZE

Choć od lat już wielu Zakopane jest *zimową stolicą,* a Kasprowy Wierch – *świętą górą* narciarzy, to jednak nie w Tatrach zdobyto – na nartach – pierwszy ponaddwutysięczny szczyt górski na ziemiach polskich. Wyczynu tego dokonała bowiem w 1897 roku, wchodząc na liczącą 2058 m n.p.m. Howerlę – najwyższą górę w paśmie Czarnohory w Karpatach Wschodnich – grupka odważnych, a wśród nich kobieta – Maria Małaczyńska. W Tatrach rekord ten został pobity dopiero po dziesięciu latach, gdy Zaruski i Borkowski wyszli wyżej – na Zawrat i Kozi Wierch.

Pierwsi zdobywcy

W grupie pierwszych narciarskich zdobywców Howerli był m.in. Józef Schneider, który w rok później wydał pierwszy polski, a prawdopodobnie trzeci w świecie podręcznik narciarstwa *Na nartach skandynawskich – podręcznik dla zwolenników sportu narciarskiego*. Pisząc go oparł się na czarnohorskich doświadczeniach.

Ten rejon Galicji, a później II Rzeczypospolitej, dosyć skutecznie rywalizował z Podtatrzem w przyciąganiu amatorów narciarstwa. Zwłaszcza ze Lwowa, Stanisławowa, Drohobycza, Tarnopola oraz innych miejscowości Polski południowo-wschodniej, ale także z Warszawy.

Dojazd do Czarnohory nie był zbyt wielkim problemem. Pociągi kursowały regularnie, często z wyższą średnią prędkością niż obecnie i oczywiście – punktualnie. Uruchamiano przy tym składy specjalne typu Narty-Dancing-Bridge. Właściciel książeczki narciarskiej Polskiego Związku Narciarskiego kupował bilet kolejowy z 50-procentową zniżką. Legitymacja PZN, podobnie jak Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, uprawniała

również do swobodnego przekraczania granicy i poruszania się w strefie pasa konwencyjnego w Czechosłowacji, a później także i w Rumunii.

Pociągiem do Worochty...

Pociągiem dojeżdżało się do Worochty (była to wówczas znana miejscowość wypoczynkowa i sanatoryjna, w której znajdowała się m.in. skocznia narciarska). Dalej można było jechać kolejką wąskotorową. Do czarnohorskich wąskotorówek, choć służyły głównie do transportu drewna, doczepiano zazwyczaj kryte wagoniki osobowe. Dzięki temu z wąskotorówki można było korzystać również w zimie. Od ostatniej stacyjki kolejki – w Foreszczence – do jednego z dwu schronisk w tej stronie Czarnohory trzeba było dojść na własnych nogach.

Na Zaroślaku znajdowało się schronisko Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, uważane za jedno z najładniejszych w Karpatach. Schronisko na Maryszewskiej prowadziło z kolei Karpackie Towarzystwo Narciarzy. Do schroniska AZS pod czarnohorskim Popem Iwanem (2022 m n.p.m.) wędrowało się z Żabiego, dokąd dojeżdżał autobus z Worochty (na tamtych terenach istniała wtedy dobrze funkcjonująca prywatna sieć autobusowa).

Huculskie Zakopane

Żabie, najdłuższą wieś II Rzeczypospolitej, nazywano huculskim Zakopanem. W 1938 roku na wspomnianym Popie Iwanie wybudowano słynne obserwatorium. Było to zarazem najwyżej zamieszkałe miejsce w granicach Polski międzywojennej – obiekty kolei linowej na Kasprowym Wierchu znajdowały się jednak nieco niżej...

W Czarnohorze schronisko mieli również harcerze – pod Kostrzycą. Narciarz, turysta mógł też bez kłopotu znaleźć miejsce w każdej huculskiej *grażdzie*.

Niestety, po czarnohorskich schroniskach pozostały tylko wspomnienia. Wszystkie uległy zniszczeniu w czasie wojny lub po niej, a wybudowana w latach 70., na miejscu zaroślackiego schroniska, *sportiwnaja baza* jest betonowym bezstylowym pudłem.

Narciarstwo uprawiane w okresie międzywojennym było nieco inne niż dzisiaj; bliższe było turystyce niż sportowi. Najpierw podchodzono w partie szczytowe (narty musiały być odpowiednio posmarowane na podejście, w górę podchodziło się także na *fokach*), następnie wędrowano granią, a wycieczkę kończono zjazdem w doliny. Taki sposób uprawiania narciarstwa wymagał nie tylko dobrej kondycji, ale także sporych umiejętności oraz znajomości gór.

Nie było specjalizacji

Kiedyś nie było specjalizacji w narciarstwie. Narciarze-wędrowcy bywali z reguły dobrymi narciarzami-alpejczykami, a czarnohorskie kotły stwarzały doskonałe warunki do rozgrywania zawodów w zjazdach i slalomach. Na punkt startu trzeba było oczywiście podejść w górę, a rolę ratraków spełniali konkurujący ze sobą zjazdowcy. W Worochcie rozgrywano np. *Puchar Czarnohory* w biegach i skokach.

Po rozpadzie ZSRR polscy turyści mogą już spokojnie przyjeżdżać w [...] Karpaty Wschodnie. Najczęściej robią to jednak w sezonie letnim. A szkoda, bo również w zimie w Czarnohorze i w innych pasmach wschodniokarpackich są wymarzone wprost warunki dla narciarzy z turystycznym zacięciem. Sęk w tym, że taki gatunek narciarzy jest dziś u nas coraz bliższy wymarcia. (K.T.)

Powyższy artykuł o tytule „Narty-Dancing-Bridge. Zaczęło się w Czarnohorze" przepisaliśmy z „Dziennika Polskiego" nr 225 z 26 IX 2000.

Przypomnijmy, że o narciarstwie we Wschodnich Karpatach rozmawialiśmy z prof. W.S. Lenkiewiczem w CL 3/97. W tym samym numerze Słownik geograficzno-historyczny był poświęcony zabranym nam górom.

Janusz Kamocki

POLSKO-HUCULSKIE LOSY CERAMIKI

Rozpatrując pojęcie huculskiej sztuki ludowej, koniecznie trzeba uświadomić sobie, że w przypadku ceramiki huculskiej jest to pojęcie szersze, odnoszące się w zasadzie do dwu współżyjących dawniej ze sobą grup etnograficznych: do ruskich karpackich górali i do polskiej ludności zamieszkującej miasteczka Pokucia.

Słynna ceramika huculska powstała jako wynik zderzenia się obu tych nurtów kulturowych: tradycyjnej kultury huculskiej i małomiasteczkowej, polskiej kultury Pokucia. Podczas gdy do przełomu XVIII/XIX w. ceramika huculska nie różniła się w zasadzie od ceramiki sąsiednich regionów, to od początku XIX stulecia rozpoczął się jej bujny rozkwit, którego apogeum przypada na drugą połowę XIX wieku. Powstała nowa jakość artystyczna, określana jako *pokucka majolika ludowa*. Nazwa ta nie oddaje rzeczywistości – prawdziwa majolika bowiem powstała na Majorce, a rozwinęła się w Italii w połowie XVI w. Była to ceramika o przełomie mało ziarnistym, nie pobiałkowana, lecz polewana emalią z piasku, potasu oraz tlenku ołowiu i cyny; malowana farbami ceramicznymi. Natomiast pokucka ceramika jest zwykłym wyrobem garncarskim, cechującym się czerepem o przełomie porowatym, ziemistym, nie można jej więc zaliczyć do właściwej majoliki. Tadeusz Seweryn pisze: *Pod wzgledem technicznym nazwą „pokucka majolika" obejmujemy ozdobne, polewane naczynia, stosowane do dekoracji mieszkań lub codziennego użytku, wykonane ze zwyczajnej gliny garncarskiej, wypalającej się na żółty, czerwony lub brunatny, porowaty, ziemisty czerep. Naczynia te oblewane bywają na powierzchni białą glinką, tzw. pobiałką, i ozdobione ornamentem rytowanym i malowanym podszkliwnymi farbami: żółtą, brunatną, zieloną, rzadziej niebieską lub czarną*. A dalej: *Ponieważ więc „pokucka majolika" jest wykonana z żelazistej gliny garncarskiej, na powierzchni pobiałkowana, a po pierwszem wypaleniu oblewana szkliwem ołowianym, nie cynowym, nie jest więc w ścisłym, naukowym znaczeniu tego słowa, majoliką* [...]. *Że jednak nazwa ta utarła sie w handlu i w potocznej mowie, zachowujemy ją, a dla uniknięcia nieścisłości dodajemy jej przydawki: „pokucka" i „ludowa"*[1].

Majolika pokucka rozwijała się co najmniej od początku XIX wieku, przy czym, co charakterystyczne, za dzieło autorskie uchodziła nie tyle praca *stricte* garncarska, co wykonanie malowidła. Na przykład na pochodzących z 1811 roku majolikach, przedstawiających wizerunek Matki Bożej i św. Mikołaja, znajduje się podpis: *Mateusz Kowalski malarz*. Ponieważ, wedle wszelkich dostępnych danych, tego rodzaju ceramika nie była wcześniej znana wśród ruskiej ludności zamieszkującej Pokucie, zachodzi pytanie o jej genezę, o stwierdzenie, czy była samodzielnym, autochtonicznym wynalazkiem miejscowych huculskich garncarzy, zapożyczeniem od sąsiadów, czy też tworem polskich mieszkańców miasteczek Pokucia.

Przede wszystkim należy stwierdzić, że jeśli niemal cała sztuka huculska ma swoje odpowiedniki w sztuce ludowej innych rejonów Rusi, to ornamentyka tej ceramiki niejednokrotnie jest niemalże identyczna z ornamentyką spotykaną w ceramice wielu regionów Węgier, technika wykonywania ceramiki ma zaś swe odpowiedniki w odległych od Huculszczyzny rejonach dzisiejszej Słowacji. Trudno więc w tych warunkach mówić zarówno o bezpośrednim zapożyczeniu od sąsiadów, jak też i o ewolucji własnej twórczości garncarskiej. Tej ostatniej dodatkowo przeczy fakt, że motywy autentycznego huculskiego zdobnictwa, zarówno ludo-

Huculi z Żabiego

wego, jak i cerkiewnego, pojawiają się w tej ceramice dopiero w okresie późniejszym. Wspólne były tylko sceny zwierzęce bądź myśliwskie, często spotykane na wytłaczanych skórzanych pasach huculskich, lecz wykonywaniem tych pasów, a zwłaszcza drewnianych sztanc używanych do wyciskania na nich ornamentów, zajmowali się nie Huculi, lecz małomiasteczkowi Żydzi.

We wspomnianej już pracy Tadeusza Seweryna znajduje się również porównanie zarówno technik wykonywania ozdób, jak i motywów występujących w ceramice seklerskiej (*Seklerami* zwie się Węgrów siedmiogrodzkich) i pokuckiej[2]. Jest ich rzeczywiście zaskakująco wiele, co – wobec faktu, że ten rodzaj ceramiki seklerskiej rozwinął się wcześniej aniżeli odpowiadający mu typ ceramiki pokuckiej – pozwala na wyciągnięcie wniosku o jego wpływie na Pokucie. Kontakty kulturowe Siedmiogrodu z Pokuciem występowały co najmniej od XIV wieku, a fakt, że po rozbiorach Polski Pokucie znalazło się w granicach cesarstwa austriackiego, w skład którego wchodził również Siedmiogród, niewątpliwie ułatwiał kontakty, odbywające się w tym czasie już w ramach tego samego państwa. Nie można nawet wykluczać stałego bądź tylko przejściowego osiedlenia się węgierskiego garncarza w którymś z miasteczek pokuckich.

Nie rozstrzygając jednakże problemu, czy na ceramikę pokucką oddziaływała, a jeśli oddziaływała, to w jakim stopniu, sztuka Seklerów węgierskich, trzeba pamiętać, że kultura miasteczek Pokucia należała do kręgu mieszczańskiej kultury polskiej. Rzemieślnicy różnych miast mogli (a przyjąwszy ówczesny system szkolenia rzemieślnikow musieli) mieć kontakty z innymi ośrodkami ceramicznymi w Polsce. Polskie próby – nieudane z powodu braku odpowiedniej gliny – wytworzenia własnej majoliki datują się na panowanie Stefana Batorego[3], natomiast w XVII i XVIII w. liczne manufaktury wytwarzały tzw. farfury, czyli – wg *Encyklopedii Staropolskiej* Z. Glogera – *naczynia różne podlejsze od porcelanowych, a przedniejsze od pospolitych polewanych, które nie mają przeźroczystości, a w przełamaniu nie są ziarniste*[4]. Otóż ceramika pokucka jest rodzajem ludowych farfurów, wykonywanych jednakże na materiale dostępnym zwykłym garncarzom, a więc ziarnistym w przełomie.

Tyle na temat najprawdopodobniejszej genezy ceramiki pokuckiej, nazywanej powszechnie, choć może niezbyt ściśle, ceramiką huculską. Zachodzi jednak pytanie, kim byli jej twórcy. Głównym ośrodkiem tej twórczości stało się niewielkie miasteczko Kosów, jak również sąsiednia wieś Pistyń. Miejscowości te posiadały znaczne złoża doskonalej gliny oraz potrzebnego na polewy białego piasku krzemionkowego. W obu tych

Archiwum

HUCULSCY SNYCERZE

Schodziłem z połogich, trawiastych, a tak pięknych szczytów pogórza, otaczającego dolinę Czeremoszu, w której leży stolica Huculszczyzny, ludne i przebarwne – Żabie. Schodziłem wąską ścieżką, wydeptaną postołami Hucułów, kopytami koni i racicami owiec, ogrodzoną charakterystycznymi woryniami – poprzez przecudnie kwieciste łąki, gdzie właśnie odbywały się sianokosy, przy wtórze nieustających pieśni i nawoływań, dźwięku rozgłośnym a miarowym dziesiątek klepanych i ostrzonych kos – ku potokowi, który nazywał się Riczka, czyli po prostu rzeczka.

W malowniczo wijącej się, wąskiej dolinie o spadzistych brzegach biegnie ścieżka wśród chat, niezbyt gęsto rozrzuconych wzdłuż potoku, to po jednej, to po drugiej jego stronie. Jestem w jednym z ośrodków huculskiego snycerstwa, w Riczce.

Co kilkaset kroków przechodzi się przez kładkę – a jest ich do centrum wsi, zdaje się – dwadzieścia sześć! A im bogatszy Hucuł daną kładkę na swoim polu wyciosał, z tym grubszego pnia drewna jest zrobiona. Pień jest czasem tak gruby, a tym samym kładka szeroka, że czasem i małym wozem można by przejechać. Sprawa prestiżu i – góralskiej fantazji!

Ta sama fantazja, ta sama ambicja, by zakasować wszystkich sąsiadów i znajomych, każe im zdobić wymyślnie a pięknie każdy drobiazg, każde narzędzie – odrzwia chaty zarówno jak drewniane jarzmo na woły. Ogromnie wiele rzeczy robi się tu z drewna – nie tylko łyżki i widelce, ale i talerze, a nawet flaszki

miejscowościach było wielu fachowców (w Kosowie funkcjonowało równocześnie 20 warsztatów garncarskich), z czasem wytworzyli własny styl, odrębny od wyrabianych w sąsiednich ośrodkach naczyń polewanych. Prawdziwym geniuszem garncarstwa artystycznego stał się Aleksander Bachmiński, urodzony w 1820 r., praktykujący początkowo przy ojcu, a od roku 1851 prowadzący warsztat samodzielnie. Ceramikę swoją zdobi piękną kolorystycznie, bogatą, pełną fantazji dekoracją, zyskuje rozgłos nie tylko wśród ludności huculskiej, na której potrzeby i gust przede wszystkim musieli tworzyć garncarze pokuccy – wprowadzający zresztą ornamentykę huculskich rytów i haftów – ale i poza Pokuciem, a nawet i poza terenem ówczesnej Galicji. Jego wyroby osiągnęły sukces, zwłaszcza na lwowskiej wystawie krajowej w roku 1877, a następnie na wystawie etnograficznej w Kołomyi w roku 1880. Fakt, że zwiedzający tę wystawę cesarz Franciszek Józef zachwycił się wyrobami Bachmińskiego, rozmawiał z nim i zakupił wykonany przez niego huculski piec kaflowy, przyczynił się do rozpropagowania tej ceramiki daleko poza tereny Huculszczyzny. Rozmowa ta była potem opisywana w książkach wydawanych przez austriackie władze szkolne dla dzieci ze szkół ruskich, co oczywiście przyczyniało się do utrwalenia przekonania, że Bachmiński był Hucułem.

Z czasem obok Bachmińskiego zasłynęli inni jeszcze ceramicy kosowscy i pistyńscy, W Kołomyi powstała szkoła garncarska, która w zamyśle miała – zgodnie z poglądami końca XIX w.– udoskonalać i uszlachetniać prostą, a więc chociaż piękną, to *prostacką* sztukę wiejskich i małomiasteczkowych rzemieślników. Na szczęscie szkoła ta nie miała wielkiego powodzenia i nie zdołała zepsuć oryginalnego stylu pokuckiego. Chyba jedyną pozytywną stroną jej istnienia było wprowadzenie ulepszonej techniki obróbki gliny. Jednakże w XX w. ceramice nastawionej na potrzeby i na gust ludności huculskiej zaczął zagrażać upadek, zanikały warsztaty garncarskie – coraz częściej w huculskich gospodarstwach domowych rolę ceramiki przejmowały wyroby fabryczne. Ratuje je jedynie powstająca moda na Huculszczyznę, początkowo na terenie Galicji, a po odzyskaniu niepodległości przez Polskę – w całym kraju. Rozwijają się ośrodki turystyczne, powstają modne miejscowości wczasowe, na Huculszczyznę przybywają liczni letnicy, ceramika huculska staje się modną pamiątką. W konsekwencji następuje degeneracja autentycznej ceramiki ludowej, dostosowywanie się jej do gustu przypadkowych nabywców. W końcu jednakże zainteresowanie się na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych ceramiką huculską przez Towarzystwo Popierania Przemysłu Ludowego powstrzymuje upadek tej sztuki.

na wódkę, siodła o wysokich kulbakach, a wszystko przebogato zdobione rzeźbą, wypalanką, zestawieniem różnobarwnych gatunków rodzimego drzewa, nabijane kolorowymi paciorkami.

Na bogatą tematykę zdobniczą Huculszczyzny złożyły się bardzo różnorodne wpływy – reminiscencje z turkiestańskiej praojczyzny, wpływy wschodnio-bizantyńskie, wołoskie, tatarskie i tureckie, nie mniej jak i szlachecko-renesansowe, ale wszystkie przetransponowane we wrażliwej duszy artysty-Hucuła na jedyny w swoim rodzaju, charakterystyczny motyw regionalny, w który w harmonijną całość złączyły się ostre, strzelające w niebo, zygzakowate linie górskich pasm i szczytów, z kolorystycznym akordem błękitu nieba, zieleni łąk i lasów, czerni odwiecznych pni w borze i ulubionej czerwieni.

W starych gniazdach tej rodzimej sztuki sztuki snycerskiej: w Riczce, Kosmaczu, Jaworowie, gdzie w zeszłym stuleciu, w okresie dobrobytu Huculszczyzny, tworzyli ten styl słynni snycerze z rodziny Szkryblaków – pracują do dziś ich wnuki i prawnuki. Ale nie kupuje już dziś tych rzeczy zubożały góral – wynędzniała Huculszczyzna! Lecz synowie tej ziemi są przedsiębiorczy – egzotyczną niemal, barwną sylwetkę Hucuła i Hucułki zobaczysz dziś we wszystkich miastach Polski, swojską i obcą zarazem na tle tłumu gwarnego i śpieszącego, w ludnych domach towarowych Warszawy, Gdyni czy Poznania, jak piękne swe cacka na sprzedaż wystawia, by zebrać nieco grosza, powrócić ze zdobytym kapitalikiem w swoje umiłowane strony i jakoś przetrzymać zimę i przednówek. Bo w lecie w górach nie zginie – mówią.

Henryk Breit

Tekst napisany w latach międzywojennych. Notka biograficzna autora (1906–1941) zawarta jest w „Semper Fidelis" 1/93.

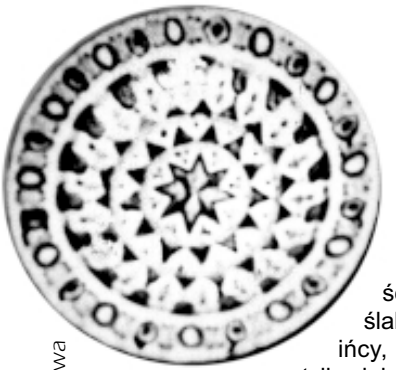

Talerz autorstwa P. Baranowskiego z Kosowa

Tereny Pokucia były mieszane narodowo, mieszkali tam Rusini (którzy w większości później określali się jako Ukraińcy, częściowo zaś tylko jako Huculi), Polacy, Żydzi, mniejsze grupki tworzyli spolonizowani Ormianie oraz Cyganie, w miastach spotykało się austriackich Niemców. Kim byli pierwsi twórcy ceramiki huculskiej? W okresie jej powstawania trudno na tym terenie mówić o powszechnie wyrobionym poczuciu narodowym w dzisiejszym tego słowa znaczeniu, raczej wyznaczała ją przynależność do jednego z dwu występujących tu obrządków kościoła katolickiego: zachodniego – łacińskiego, bądź wschodniego – unickiego. Inne wyróżniki bywają zawodne, gdyż czasem ruscy sąsiedzi nadawali ruską formę polskim nazwiskom, po czym obie formy trafiały do literatury, tym bardziej że czasem ci sami garncarze podpisywali się bądź po polsku, bądź po rusku, w zależności od tego, do jakiego odbiorcy miały trafić ich wyroby. Na tej zasadzie Aleksander Bachmiński jest określany w literaturze ukraińskiej jako Oleksy Bachmetjuk. Zresztą nie tylko w ukraińskiej: np. Włodzimierz Szuchiewicz w *Huculszczyźnie* pisze ... *Jeśli porównamy wzory* [...] z *wyrobami nieżyjącego już obecnie ludowego artysty-garncarza Iwana Bachmetiuka, także Bachmińskim zwanego...*[5]. To pomieszanie wywodzi się niewątpliwie stąd, że ceramika pokucka istniała w powszechnym odczuciu jako ceramika huculska, a w konsekwencji jej twórców uznawano *a priori* za Hucułów. W tym przypadku można jednak stwierdzić z całą pewnością, że Aleksander Bachmiński należał do kościoła rzymskokatolickiego[6], czyli był związany z tradycją polską. Ukraiński badacz, Jurij Łaszczuk podaje, że ojciec Bachmińskiego pochodził z *centralnych obłasti Ukrainy*[7], co jednak jest mało precyzyjne i nic nie mówi o jego narodowości, jako że np. należąca do niewątpliwie centralnych rejonów Ukrainy Żytomierszczyzna zamieszkana była w dużym procencie przez Polaków. O świadomym poczuciu narodowym można mówić dopiero w czasach późniejszych, np. w okresie międzywojennym, gdy w roku 1922 w Pistyniu pracowało 22 garncarzy, z których tylko jeden, Mykoła Barszcz, był narodowości ruskiej, pozostali byli Polakami[8].

Bachmiński i drugi współtwórca ozdobnej ceramiki huculskiej Piotr Baranowski (w literaturze ukraińskiej figurujący jako Petr Baranjuk) znaleźli licznych naśladowców zarówno wśród ludności polskiej, jak i huculskiej. To, że wśród ich uczniów i naśladowców znalazło się wielu Hucułów, okazało się zbawienne dla przetrwania na Huculszczyźnie tejże sztuki po drugiej wojnie światowej, która przyniosła wyniszczenie i ekspatriowanie ludności polskiej, między innymi i z Pokucia. Współczesne wydawnictwa poświęcone sztuce ukraińskiej wymieniają nazwiska obecnie pracujących garncarzy[9]. Mniej znany jest fakt, że wyrzuceni z rodzimych siedzib garncarze próbowali kontynuować swą tradycyjną sztukę na nowej ziemi osiedlenia. Wspaniale tworzył w czystym stylu Bachmińskiego zamieszkały w Oławie Kazimierz Woźniak, pasierb i uczeń znanego garncarza Piotra Koszaka z Pistynia; mniej znany był Józef Trześniowski z Kut, tworzący we wsi Golędzinów pod Trzebnicą[10], który jednakże swych wyrobów nie zdobił już wzorami huculskimi. Najmłodszy z garncarzy kontynuujących pokucką tradycję był urodzony już pod koniec wojny Rudolf Gąsior. Z pozostałych znanych przed wojną na Huculszczyźnie garncarzy – również osiadłych w Oławie – schorowany Jan Broszkiewicz nie wrócił do pracy, a rodzina Napów przeszła na tworzenie pseudopokuckiej ceramiki, nie przedstawiającej już większej wartości. Sztuka tworzenia ceramiki huculskiej w Polsce przeżyła jednakże tylko jedno pokolenie. Po śmierci Trześniowskiego wdowa sprzedała pozostały po nim sprzęt garncarzom z Lubelszczyzny, po śmierci Woźniaka sprzęt jego przeszedł na własność współpracującego z nim za życia Zrzeszenia Wytwórcow Rękodzieła Ludowego „Cepelia". Nikt z tego Zrzeszenia jednak już nie kontynuował jego pracy. Huculszczyzna przestała być ośrodkiem turystyki polskiej, dawną ceramikę huculską najczęściej spotyka się w domach ludzi starszych jako pamiątkę z lat młodości. W oderwaniu od gór, wśród których powstała, ceramika ta w Polsce współczesnej straciła rację swego istnienia.

[1] Tadeusz Seweryn, *Pokucka majolika ludowa*, Kraków 1929, s. 4.
[2] Ibid. s. 41–62.
[3] Adam Chmiel, *Garncarze krakowscy*, Kraków 1907.
[4] Zygmunt Gloger, *Encyklopedia Staropolska*, Warszawa 1900, t. I, s. 146.
[5] Włodzimierz Szuchiewicz, *Huculszczyzna*, Kraków 1902 t. I, s. 294.
[6] Ludwik Wierzbicki, *Wyroby garncarskie z Kossowa*, Lwów 1882.
[7] Jurij Łaszczuk, *Kosiwska keramika*, Kijiw 1966, s. 41–42.
[8] T. Seweryn op. cit., s. 12.
[9] *Die huzuliche Keramik erfreut sich in der Ukraine groáer Beliebtheit. Im 19.Jahrhundert waren in Kossow die hervorragenden* Meister Olexa Bachmetiuk, Petr Baranjuk und Dmitri Sintjuk tatig. Ihre Traditionen werden heute von Pawlina Zwilyk, Nadeshda Werbiwskaja, Oryssja Kosak, Michailo und Anna Rostschibjuk und vielen anderen fortgesetz. Von ihnen lernen die jungen Toepfer, die die Kossower Kunstschule absolviert haben und jetz in der keramischen Werkstatt der Kunstgewerberfabrik *„Huzulstschina" arbeiten.* (*Ukrainische Volkskunst*. Wyd. Aurora Kunstverlag. Leningrad 1982, s. 12).
[10] Marta Macewicz-Gołubko, *Ceramika ludowa, katalog zbiorów Muzeum Etnograficznego we Wrocławiu*, Wrocław 1987, s. 65, 72–73; oraz Piotr Szacki, *Oława, woj. wrocławskie*, [w:] *Polskie garncarstwo ludowe 1978*, wyd. Muzeum Etnograficzne w Toruniu, Toruń 1981, s. 32–33.

Ponadto wykorzystano: katalogi zbiorów Muzeum Etnograficznego w Krakowie i Muzeum Etnograficznego we Wrocławiu.

JANUSZ EUGENIUSZ SARYUSZ-KAMOCKI, ur. 1927 w Warszawie w rodzinie właścicieli majątku Podgaje pod Sandomierzem. W czasie II wojny żołnierz AK. Studia etnograficzne na UJ, doktorat 1964 na Uniw. Poznańskim. Od 1952 w Muzeum Etnograficznym w Krakowie kierował działem etnografii pozaeuropejskiej. Prowadził badania na terenie Polski oraz nad Polakami na Zaolziu, Spiszu i Orawie, w Czadeckim oraz na Wileńszczyźnie, a także wśród Polaków w Tatarstanie, Kazachstanie, Kirgistanie i Uzbekistanie. Badania nad kulturami pozaeuropejskimi w Armenii, Indonezji, Singapurze, Indiach i Nepalu. Od 1988 pracował na UMCS w Lublinie, wykładał na Uniw. Polskim w Wilnie, a obecnie, ne emeryturze, na Uniw. Śląskim. Członek PAN, honorowy członek Polskiego Tow. Ludoznawczego. Autor wielu prac, w tym sześciu książek.

Powyższy tekst był już publikowany w wydawnictwie „Kultura polska w życiu Ukrainy. Materiały z II Międzynarodowej Konferencji Naukowej, Kijów 6–9 listopada 1997 roku" pod redakcją dra Jerzego Wowka. Przedruk w „Cracovia-Leopolis" następuje za zgodą Autora artykułu, za co serdecznie dziękujemy.

Archiwum

BIAŁA ŚMIERĆ

Przed pięcioma laty (CL 1/97) opisywaliśmy dramat, który rozegrał się 29 grudnia 1936 r. pod Howerlą w Czarnohorze: w śnieżnej lawie zginęli wtedy dwaj młodzi narciarze ze Lwowa: Lesław Chlipalski (25 lat) i Andrzej Steusing (19 lat). Ich ciał poszukiwano przez 9 dni, odnaleziono 7 stycznia 1937 roku.

Minęło od tego czasu 65 lat. Poruszony tym wypadkiem, wtedy młodziutki, a dziś już nieżyjący Stanisław Hornung, napisał 16 stycznia 1937 r. taki oto wzruszający, amatorski wiersz:

Biała śmierć

Pędzi nawałnica śnieżna – już zleciała!
Grzebiąc w swym puchu niewinnym dwa martwe ciała.
Wiatr niesie nowinę po stokach gór,
Odbiera ją sędziwy wiekiem bór.
Od szczytu Howerli po Bałtyku fale
Niosą wieść smutną – radiowe fale.
I... tik... tak – odezwał się w Pacie,
Zaś PAT zalewa swym tik... tak... coraz szersze połacie.
Już warkoczą maszyny drukarskie,
Gdyż zdradziły światu swe tajemnice szlaki narciarskie.
Pierwsze łzy bólu i dusznej udręki,
Płyną cichaczem na znak Jego męki.
Na miejscu Białej Śmierci dzwonią łopaty –
Lecz próżne są dziś żale Sarmaty.
Lawina cała przesondowana,
Jej gruba warstwa już przekopana.
Pracują nieprzerwanie... zaś twarze ich w smutku
Mówią im – że praca bez skutku...
Nieświadomi – jakiej siły mają użyć?
By się do ciał martwych zbliżyć...
Kto zrozumie ból jedyny Matki?
Straciła dziś klejnot drogi i rzadki.
Jej miłość – którą tchnęła ku niemu bez granic,
Nikt nie zdoła wykupić – już za nic!
Dziś już zmalały troski, a ze skrytych niepokoi
Pozostała łza cicha, która każdy ból ukoi.
Ni pomóc ci! – ni ustrzec cię mogę!...
Tak mi dziś żal – żeś odszedł w swoją drogę.
Drogę... w której już zawsze będziesz bezpiecznym,
A znalazłeś ją w spoczynku wiecznym!

Z EDWARDEM SOSULSKIM

rozmawia Andrzej Chlipalski

Przedstawiamy: pan Edward jest kierownikiem i choreografem młodzieżowego zespołu tanecznego „Lwowiacy" – od niespełna dwóch lat faktycznie, a od ponad prawie roku już oficjalnie – przy Towarzystwie Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej. Rozmowa toczy się po występie zespołu w sali Domu Kultury Kolejarza w Krakowie 27 listopada 2001 r.

Panie Edwardzie, Wasz dzisiejszy występ w Krakowie był wielkim sukcesem. I nie tylko dlatego, że ładnie tańczyliście. W pełnej po brzegi sali (niemałej) panowała szalenie sympatyczna, a nawet serdeczna atmosfera, a przecież większość widzów to wcale nie byli lwowscy ekspatrianci. To także w jakimś stopniu pana osobista zasługa – umie pan nawiązać kontakt z salą. Tańczy pan, śpiewa i jeszcze prowadzi konferansjerkę.

Dziękuję. Rzeczywiście chyba się udało. I ja, i cały zespół jesteśmy szczęśliwi, że mogliśmy wystąpić w Krakowie. Zawdzięczamy to krakowskiej „Wspólnocie Polskiej" – pani dyrektor Krystynie Gąsowskiej, pani Krystynie Ronikier, no i Domowi Kultury Kolejarza, bo przecież nie tylko tu wystąpiliśmy, ale i zamieszkaliśmy.

To nie jest wasz pierwszy występ po tej stronie granicy?

Nie. Trzy razy byliśmy na Międzynarodowym Festiwalu Folklorystycznym w Rzeszowie i trzy razy na Festiwalach Kultury Kresowej w Mrągowie.

Ile osób liczy wasz zespół?

Mamy dwudziestu tancerzy, czworo śpiewaków, a w kapeli gra czterech muzykantów. Kapelę chcemy wzbogacić jeszcze o dwa instrumenty.

W jakim wieku są tancerze? Kim są?

To młodzież w wieku 13–22 lat. Są w większości uczniami obu szkół polskich we Lwowie. Pochodzą z rodzin polskich, ale i mieszanych, garnących się do polskiej kultury.

A od jak dawna istnieje wasz zespół? Kto go założył? Kto nauczył tańczyć polskie tańce?

Powstał w 1989 roku. Jego inicjatorem był ówczesny wiceprezes Towarzystwa Kultury Polskiej dr Adam Kokodyński. Na początku prowadziły nasz zespół dwie panie: choreograf Krystyna Suchodolska i akompaniatorka Helena Niemira. Od strony organizacyjnej kierował nim przez parę lat pan Stanisław Dyrys. Ja wstąpiłem do zespołu w 1990 roku, a od 1996 jestem choreografem i uczę nowy narybek tańczyć.

I teraz jest pan jeszcze kierownikiem. Czy to jest pana zawód?

Ależ nie, ja mam średnie wykształcenie techniczne, po maturze w szkole polskiej, i pracuję zarobkowo, żeby utrzymać rodzinę. Ale oprócz tego skończyłem Studium Choreograficzne przy Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie i mam dyplom choreografa polskich tańców.

No to pomówmy o tych polskich tańcach. Wasz dzisiejszy program składał się z dwóch rodzajów tańców. Pierwsze były typowo ludowe, ogólnopolskie.

Oczywiście. Każdy polski zespół ma w swoim repertuarze pięć głównych tańców ludowych: mazur, krakowiak, oberek i kujawiak oraz polonez. To jest kanon. Oprócz tego mogą być tańce regionalne, na przykład góralskie czy śląskie, albo tamte pierwsze w jakichś regionalnych odmianach.

No właśnie. Kiedy ostatnio rozmawialiśmy we Lwowie, doszliśmy do zgodnego przekonania, że trzeba podjąć poszukiwania za takimi regionalnymi odmianami z Ziemi Lwowskiej czy wschodniej czę-

ści Ziemi Przemyskiej. Chodzi o muzykę i teksty, które powstały w tamtych stronach. Dziś to trudne, bo ludzie z tamtych stron ulegli rozproszeniu, a ci, co mogli to znać – w większości już wymarli. Trzeba szukać w literaturze i próbować odnaleźć tych, którzy jeszcze coś pamiętają. I oczywiście profesjonalistów. Swoją pomoc obiecała pani muzykolog z krakowskiej Katedry Muzykologii UJ. Chcemy wspólnie zasięgnąć rady innych jeszcze specjalistów. Pan powinien zainteresować się wsiami i miasteczkami w Ziemi Lwowskiej, w których środowiska polskie są stosunkowo liczne.

Drugi nasz problem to są stroje. Te, w których tańczymy, są wypożyczone od jednego z zespołów ukraińskich, a ten ma je od czasów sowieckich, kiedy lansowano *drużbę narodow*. Jest to dziwne pomieszanie stylów krakowskiego i łowickiego, zaprojektowane przez kogoś, kto tego nie wyczuwał. Z daleka przypominają strój polski, ale dla Polaków nie do przyjęcia. Mieliśmy kiedyś porządne stroje, ale nam je zabrano...

Szkoda. Powiedzmy sobie jednak, że lwowski zespół taneczny powinien mieć przede wszystkim swoje kostiumy regionalne. Przecież chłopi w tamtych stronach takie mieli. Przykładem strój sokolnicki, noszony nie tylko w Sokolnikach, ale w wielu wsiach dookoła Lwowa. Sokolniki to wieś o rodowodzie średniowiecznym, a dla Lwowa była tym, czym Bronowice dla Krakowa. – symbolem. Mężczyźni mieli tam piękne sukmany, a można je zobaczyć nie tylko w literaturze, lecz również w krakowskim Muzeum Etnograficznym. Niestety nie ma kopletnych strojów męskich i kobiecych, a tylko ich niektóre elementy.

Posiadanie takich kostiumów byłoby naszym marzeniem. Przecież w strojach krakowskich czy łowickich, które są wręcz symbolami polskości, tańczą zespoły polonijne, emigranckie, we Francji czy Ameryce, bo nie mają tam innej tradycji. A my ją posiadamy. Pan, zdaje się, poczynił jakieś kroki w tym kierunku?

Naturalnie, wy jesteście autochtonami z wielowiekową tradycją. To mną powodowało, gdy w 1994 roku zaapelowałem na łamach „Przekroju" o nadsyłanie materiałów na temat stroju umownie nazwanego sokolnickim. Przyszło kilka odpowiedzi z fotografiami, mój apel podobno przedrukowała „Gazeta Jaworska". Najważniejsze jednak to, że zgłosiła się do mnie z Wrocławia młoda etnografka, której rodzice pochodzą z Sokolnik. Przekazałem jej wszystko, co dostałem, a i ona sama kontynuowała poszukiwania na Dolnym Śląsku. Na podstawie zebranych materiałów i własnych badań miała stworzyć syntezę stroju męskiego i kobiecego, by je potem móc powielić. Tak samo postąpiono tworząc kostiumy dla „Mazowsza" czy „Śląska", ale tamci mieli ułatwione zadanie, bo wzorce mieli na miejscu.

Podobno na tej samej zasadzie zaprojektowano i wykonano stroje regionalne dla zespołu w Niemenczynie pod Wilnem.

Tak, dokładnie. Niestety kontakt z tą młodą, sympatyczną osobą urwał się, bo ona zapewne miała inne obowiązki, doktorat. Nastąpił zastój w tej sprawie, ale ostatnio donoszą mi Sokolniczanie z Dolnego Śląska, z którymi jestem w stałej korespondencji, że coś się chyba rusza. Oby tak było!

No właśnie: niedawno przyjechała do Lwowa młoda etnografka, ale nie ta, o której pan wspominał (może jej koleżanka?) i zapoznawała się z naszym zespołem. Mieliśmy nadzieję, że jej wizyta jest związana z tym, co pan rozpoczął.

Jeszcze o jednym pan mi nie powiedział: gdzie ćwiczycie? Czy macie jakieś zaplecze techniczne?

Z tym był zawsze problem. Od jakiegoś czasu mamy stabilizację. Korzystamy z sali w szkole, która się mieści w dawnym klasztorze jezuickim, blisko Rynku. Z techniką u nas marnie. Nie mamy nagłośnienia dla kapeli. Naszym marzeniem jest posiadanie kamery wideo, tak przydatnej w naszych czasach przy przygotowywaniu tańców, bo nawet luster nie mamy.

Tym bardziej was podziwiamy. Będziemy się starali wam pomóc sami i innych do tego nakłaniać. Dziękuję panu za tę rozmowę.

Z BARBARĄ WACHOWICZ

rozmawia Janusz M. Paluch

fot. Monika Stachnik-Czapla

Trafiło do księgarń kolejne wydanie książki *„Druhno Oleńko! Druhu Andrzeju!”* autorstwa znanej pisarki Barbary Wachowicz. Bohaterami tej gawędy są twórcy harcerstwa Polskiego Olga z Drohonowskich i Andrzej Małkowscy. Wraz z autorką podążamy śladami – jakże już nieraz wątłymi. Barbara Wachowicz dociera do nieznanych dokumentów, dobywa z czeluści archiwów fotografie. Odtwarza nieraz drobne szczegóły z ich życia, chroniąc je od całkowitego zapomnienia. Ale nie wszystkie wydarzenia z ich życia są dzisiaj do odtworzenia. Wiele dokumentów przepadło w Zakopanem. Do części nie ma niestety dostępu. Reszta odeszła bezpowrotnie, nie zapisana w żadnych pamiętnikach, wraz z przemijającym ludzkim życiem. Autorka niestety zbyt późno trafiła do druhny Olgi dożywającej swych dni w Zakopanem.

Przy okazji promocji tej książki w Krakowie w roku 1995, zadałem autorce kilka pytań:

– Bohaterami Pani książek byli wielcy przedstawiciele kultury polskiej: Adam Mickiewicz, Juliusz Słowacki, Tadeusz Kościuszko, Fryderyk Chopin, Henryk Sienkiewicz, Stefan Żeromski... Książkę *„Druhno Oleńko! Druhu Andrzeju!”* poświęciła Pani twórcom polskiego harcerstwa. Czy można się doszukiwać jakichś więzi między Pani bohaterami?

– Harcerstwo nasze wyrosło i okrzepło na gruncie tradycji, historii, literatury ojczystej. Wszyscy bohaterowie, którym dotychczas miałam szczęście i zaszczyt poświęcać moje książki, mają swój wielki udział w kształtowaniu się tej najwspanialszej organizacji, jaką Andrzej Małkowski ofiarował młodzieży polskiej. Nie darmo patronem 1 drużyny, jaką kreował Małkowski we Lwowie w roku 1911 był Tadeusz Kościuszko. Ten sam, który rzucał przesłanie: *Łączmy serca, łączmy ręce najściślej, narodowi i ojczyźnie Waszą wierność winniście...* Na harcerskiej lilijce widnieją trzy symbole Mickiewiczowskich słów: *Ojczyzna – nauka – cnota*. Promienistych filomatów i filaretów jakże słusznie nazwał druh Kamiński w książce im poświęconej – pre-harcerzami. Andrzej Małkowski w znakomicie redagowanym piśmie „Skaut” (którego tradycje podjął w Krakowie Związek Harcerstwa Rzeczypospolitej) nazywa tradycje powstań polskich *potężnym echem* i woła: *Święta rocznic narodowych nie powinny gasnąć w pokoleniach, jak gasną nieraz świeczki na grobach naszych pradziadów...* Pierwsze harce-podchody prowadził Andrzej szlakami bohaterów Trylogii. W wielkim konkursie na odznakę harcerską nagrodami była „powieść skautowa” Henryka Sienkiewicza *W pustyni i puszczy*. Tę nagrodę otrzymali skauci krakowscy!

– **Kraków odegrał w życiu Andrzeja Małkowskiego ważną rolę, choć i tu długo miejsca nie zagrzał.**

– *W Krakowie – duchowej stolicy Polski – dokonały się moje drugie narodziny, istne przyjście na świat* – to wyznanie Andrzeja

Małkowskiego. Tutaj wstąpił do sławnego związku „Eleusis", z którego wyjdzie całe *czoło harcerskiej kolumny*. Z najwyższym uznaniem pisze o tej *grupie młodych zapaleńców gorących serc i prawych charakterów* – żarliwy harcerz, mianowany jednym z pierwszych krakowskich drużynowych – Stanisław Pigoń! Ten mistrz wielu pokoleń polonistów, rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego stwierdza, że nie przeżyłby kaźni hitlerowskiego obozu, gdyby nie wspaniała dyscyplina woli i ciała, jaką zawdzięcza harcerstwu. W Krakowie pierwszy raz użyto podczas zmieniających się wart – CZUWAJ! podczas odsłonięcia pomnika grunwaldzkiego. Stanie się on symbolicznym zawołaniem harcerskim. Do Krakowa będzie biegł Andrzej Małkowski ze swymi zakopiańskimi skautami do Legionów. Z Krakowa wyruszą na front jego dwaj bracia, żołnierze II Brygady. W Krakowie spocznie matka – Helena z Zachertów Małkowska, gdy już żadnego z jej synów nie będzie wśród żywych... Do Krakowa wyśle Małkowski z USA jesienią 1916 roku list mówiący przyjaciołom o jego walce, by powołać za oceanem legion polski, łącząc *bohaterski uścisk dłoni wszystkim z którymi znów chciałbym być „jednością silny, rozumny szałem"*.

– **Książka o Małkowskich to pierwszy tom zapowiadanego pięcioksiągu *„Wierna rzeka harcerstwa"*. Gdzie można doszukiwać się źródła inspiracji tą piękną tematyką.**

– Pierwszą fascynacją był mój brat – harcerz, który uratował mi życie z płomieni. Potem przyszły *„Kamienie na szaniec"* i marzenie, by sprostać ideałom, których oni nie zdążyli wypełnić. Od 1978 roku – od poznania druha Kamińskiego, Matuli Polskich Harcerzy – Matki Janka Bytnara i wspaniałych harcerzy Szarych Szeregów – trwa zbieranie dokumentów do – jak to nazwali harcerze wręczając mi Order Uśmiechu – „pięcioksięgu" *„Wierna rzeka harcerstwa"*. *„Druhno Oleńko! Druhu Andrzeju!"* – tom pierwszy, poświęcony twórcom harcerstwa polskiego bardzo wiele zawdzięcza dwóm harcmistrzom – druhowi Bolesławowi Leonhardowi z Krakowa i druhowi Lesławowi Dallowi z Zakopanego. Pierwszy opiekował się wieloma latami zakopiańskiego zmierzchu *królowej polskich harcerzy*, jak nazywano Oleńkę pod Giewontem, drugi z pietyzmem zebrał to wszystko, co ocalało ze spuścizny, i marzy o muzeum Małkowskich w willi Turnia, która była świadkiem ich młodzieńczego szczęścia. Pobrali się pod Tatrami 19 czerwca 1913 roku. To wielka radość, że promocję książki im poświęconej przeżyliśmy w Krakowie dokładnie w rocznicę tego pierwszego polskiego harcerskiego ślubu. Miałam to wielkie szczęście, że poznałam jeszcze Oleńkę Małkowską u kresu jej dni i przeżyłam w jej opowieściach tamten radosny czas narodzin harcerstwa, ich miłości, ich nadziei. Los mi sprzyjał – dotarłam do wielu nieznanych dokumentów, które pozwoliły mi odtworzyć dzieje służby trzech braci Małkowskich w Legionach, pogodne lata Oleńki, gdy w Pieninach stworzyła harcerską szkołę – „Cisowy dworek", o czym marzyli oboje z Andrzejem, a potem – burzliwe i dramatyczne jej losy wojenne – i powrót do Polski, bo jak mi powiedziała – *Ja jestem stąd, z tej ziemi i odejść mogę tylko stąd.*

Panu Ministrowi

Andrzejowi Przewoźnikowi

Sekretarzowi Generalnemu
Rady Ochrony Pamięci
Walk i Męczeństwa

serdeczne wyrazy współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają

Oddział Krakowski Towarzystwa
Miłośników Lwowa
i Kresów Płd-Wsch.
oraz
Redakcja „Cracovia-Leopolis"

Anna Makomaska

Pieśń o Lwowie

Elżbiecie Pakoszowej

Natchnieniem
niech mi będzie
każda grudka ziemi,
każdy kamień
i każdy kawałek murawy,
bym mogła wyśpiewać
pieśń o Lwowie.

Wspomnieniem
niech mi będą
dni radosne, beztroskie,
zapach bzów w Stryjskim Parku,
gwar ulic,
zaduma starych budynków,
strzelistość wież kościelnych,
dzwonów srebrne dźwięki,
uśmiech wiosennych poranków,
uścisk rąk,
serdeczność spojrzenia –
i Lwy – zawsze na straży
na lwowskim rynku.

Snem
niech mnie ukołyszą
wierzby płaczące
na Łyczakowskim cmentarzu,
szeregi starych krzyżyków,
bohaterskie dzieci śpiące,
co umierały za Lwów.

Natchnieniem
niech mi będzie
wiatr, który wieje
od moich stron,
każdy kamień wiernego grodu,
każda grudka ziemi zaoranej
cmentarza naszych nadziei –
i serc naszych gorących
modlitwa – bez słów...

XII 1982

Nie wrócę już do Lwowa

Basi

Nie wrócę już do Lwowa,
ciemne chmury zasłoniły mi słońce;
nad Wysokim Zamkiem zawisł cień,
kamienne lwie grzywy gorejące
zapadły w głęboki sen.
Nie wrócę już do Lwowa,
nikt nie może wskazać mi drogi
dokąd mam iść –
poprzez zsyłki, obozy,
wojny złowrogie,
zagubiłam do niego
prowadzącą nić.
Nie wrócę już do Lwowa,
choć jeszcze słyszę z daleka
jego śpiew:
Semper Fidelis w swym sercu
ma wyryte słowa
i Orląt daremnych poświęceń
przelaną krew.
Pieśń się przerywa w pół tonu,
melodia ustaje,
rozpływa się we mgle.
Nie wrócę już do Lwowa,
a przecież – tak bardzo chcę!

1980

ANNA MAKOMASKA, z domu Tylko, ur. we Lwowie. Wychowanka Gimnazjum Królowej Jadwigi. W kwietniu 1940 wywieziona na Syberię, wydostała się na wolność z armią gen. Andersa w jesieni 1942. Przez Persję dostała się do Libanu. Na uniwersytecie amerykańskim w Bejrucie (AUB) ukończyła studia medyczne. Od 1950 mieszka w Anglii pod Londynem i pracuje jako pulmonolog-alergolog w tamtejszym szpitalu.

Wojciech Hausner

JEDEN ROK ALFREDA HAUSNERA W RADZIE PAŃSTWA

Autor przedstawia czwarty odcinek swojej opowieści o brodzko-lwowskim rodzie bankierskim Hausnerów, którego przybyły z Niemiec praszczur osiadł z końcem XVIII wieku w Brodach. Potomkowie Johanna Hausnera wrośli w środowisko polskie, spolszczyli się i z czasem przenieśli się do Lwowa.

Alfred Hausner był synem Karola, a bratem najwybitniejszego przedstawiciela tej rodziny, polityka Ottona (1827–90).

Dwa pierwsze odcinki historii Hausnerów zamieściliśmy w CL 1/99 („Kaufmann aus Brody" i „Dom Bankierski Hausner & Violland", tamże notka biograficzna autora) oraz w CL 3/99 („Otto Hausner").

Urodzonemu w roku 1822 Alfredowi Hausnerowi, jako starszemu synowi, przypadło w udziale gospodarzenie rodzinną firmą w Brodach i Lwowie. W przeciwieństwie do swego brata Ottona nie zajmował się polityką, ale właśnie aktywność w środowiskach gospodarczych sprawiła, że w galicyjskim Sejmie Krajowym znalazł się jako reprezentant brodzkich kupców.

We wrześniu 1865 r. premier Austrii, hrabia Richard Belcredi, w obliczu zewnętrznych i wewnętrznych problemów politycznych Austrii, zdecydował się na zawieszenie działalności wiedeńskiego parlamentu I kadencji. Druga kadencja Rady Państwa rozpoczęła się w maju 1867 i trwała do maja 1869. *Była to kadencja historyczna – oto co pisze na ten temat prof. S. Grodziski*[1]*:*

[...] Austria przeobraziła się w monarchię dualistyczną, Austro-Węgry. Stało się to w roku 1867, przy poparciu austriackich liberałów ujętych drobnymi koncesjami, oraz przy wrogim stanowisku Czechów, żądających dla siebie podobnych praw, jakie uzyskali Węgrzy. Jak w tych trudnych chwilach dla monarchii zachowali się Polacy?

Już pierwszych lat kilka autonomii galicyjskiej przyniosło wiele korzyści sferom konserwatywno-ziemiańskim. Sejm wprawdzie dyskutował burzliwie, ale działał żywo i uchwalił szereg ustaw, które rychło zyskały sankcję cesarską; szczególnie ważne znaczenie miały dla ziemian ustawy o organizacji gmin, o wyodrębnieniu z gmin obszarów dworskich oraz ustawa drogowa. W tych warunkach ziemiaństwo popierało ideę federacji i program rozbudowy autonomii, daklarując w zamian swą lojalność wobec Wiednia; dołączyli doń mieszczańscy liberałowie z Ziemiałkowskim, którzy liczyli na nieuchronny sukces liberalizmu w Austrii. Namiestnikiem Galicji został ponownie Gołuchowski i natychmiast przystąpił do polonizowania administracji.

Kiedy więc zebrał się z końcem 1866 roku Sejm galicyjski, jego konserwatywno-ziemiańska większość postanowiła podziękować cesarzowi za dotychczasowe ustępstwa i wyrazić nadzieję, że w zamian za dalsze poparcie otrzyma kolejne koncesje. W dniu 10 grudnia 1866 roku uchwalony został ów słynny wiernopoddańczy adres, zakończony słowami pochodzącymi spod pióra Adama Potockiego: *... z głębi serc naszych oświadczamy, że przy Tobie, Najjaśniejszy Panie, stoimy i stać chcemy.* [...]

Przed rozpoczęciem owej II kadencji galicyjski Sejm Krajowy we Lwowie po burzliwej debacie (marzec 1867) podjął decyzję o wysłaniu swojej delegacji do Rady Państwa. Zgodnie z ówczesnym systemem wyborczym spośród posłów Sejmu Galicji wybrano grono 38 osób, które w ten sposób stały się parlamentarzystami austriackiej Rady Państwa. Z nich – 13 pochodziło z *wielkiej własności*, 18 z gmin wiejskich, 6 z miast i jeden z izb handlowych. Tym ostatnim był właśnie Alfred Hausner. Na początku pracy Koła Polskiego[2] jednogłośnie przyjęto stanowisko, aby ten sposób wybierania posłów Rady Państwa nie został zmieniony na wybory bezpośrednie. Można przypuszczać, że obecny na tym posiedzeniu A. Hausner miał również takie zdanie.

Pierwsze posiedzenie Koła Posłów Galicyjskich (tak brzmiała jego właściwa nazwa) odbyło się w sali wiedeńskiego hotelu „Zum Wilden Mann". Później obradowano w hotelu „Zum Roemischen Kaiser" lub w parlamentarnej czytelni. Przewodniczącym Koła wybrano Floriana Ziemiałkowskiego, zwolennika poszerzenia uprawnień autonomicznych Galicji w ramach dualistycznej monarchii austro-węgierskiej i współpracującego ze wschodniogalicyjskimi konserwatystami.

Hausner nie należał do przeciwnej Ziemiałkowskiemu mniejszości, złożonej z federalistów. Nie należał też do tej niewielkiej grupy posłów, która nadawała ton pracy Koła. Zapewne dla niego, jak i dla wielu innych, nie był ograniczeniem język niemiecki, używany w debatach. Uczestniczył w 48 z jego 77 posiedzeń. Można więc przypuszczać, że ważniejsze dla Hausnera było pilnowanie Domu Bankierskiego.

W protokołach Koła nazwisko Alfreda Hausnera w sprawach merytorycznych pojawia się dwukrotnie. W czerwcu 1867 r., na plenarnym posiedzeniu Rady Państwa, centralista z Moraw Alfred Skene wraz z 22 innymi posłami złożył wniosek dotyczący wyboru komisji finansowej. Hausner wybrany został do komisji rozpatrującej ten wniosek, a następnie w lipcu został sekretarzem

Naszym zdaniem

NIEPOROZUMIENIE

Bohdan Cywiński publikuje na łamach „Rzeczypospolitej" cykl artykułów na temat sytuacji politycznej naszego kraju na tle współczesnej panoramy Europy. W nrze 191/01 ukazał się jego tekst zatytułowany *Na skraju Europy, o krok od imperium*, dotyczący zagrożeń ze strony Rosji dla naszego państwa i narodu – w myśl popularnego tam porzekadła, że *kurica nie ptica, Polsza nie zagranica*. To wszystko prawda, i właśnie obawy przed tym skłaniają nas do zbliżenia z Zachodem poprzez NATO i Unię Europejską – przy pełnej świadomości zagrożeń (choć innego typu), także z tamtej strony.

Ale w artykule Cywińskiego znalazł się taki oto passus:

Znacie stare pojęcie „kresów", nie liczące się z żadną polityczną aktualnością nowych granic, nie poddające się racjonalizacji, skupiające za to tak wiele emocji, pamięci i umiłowania dawnych tradycji... Otóż weźcie pod uwagę, że zachodnimi kresami odnoj, niedelimoj, swiatoj Rossiji w ciągu stu lat było Priwislannije, sięgające Sosnowca, Częstochowy, Kalisza i Włocławka. Nie tylko nasza kultura tęskni za naszymi kresami...

To chyba nieporozumienie. My nie wspominamy Witebska i Kijowa, choć i te kiedyś do nas należały. Przyrównywanie wielkorosyjskich tęsknot do Częstochowy, Włocławka czy innych, które Cywiński wymienia, do naszych uczuć do Lwowa i Wilna – które dziś, nie wiadomo dlaczego, nazywa się „kresami", i których p. Cywiński jakby od tamtych nie odróżniał – jest zwykłą nieprzyzwoitością. *Prywisliański Kraj* nie miał nic wspólnego z historią Rosji i niczego ważnego jej nie dał, poza trwającą przez 100 lat satysfakcją z powiększającego się wciąż imperialnego stanu posiadania. Musiała więc prędzej czy później to utracić, tak jak i kraje bałtyckie (już dwukrotnie), a ostatnio – choć jeszcze nie na pewno – Białoruś i Ukrainę, kraje kaukaskie i azjatyckie.

Nasze „kresy", czyli Ziemie Wschodnie II Rzeczypospolitej, to przez sześć wieków – nie wyłączając czasu zaborów – integralna część Polski (czy Rzeczypospolitej, jak kto woli), które dały jej i polskiemu narodowi ogromną część wielowiekowego dorobku historycznego i kulturalnego, ogromną część wielkich Polaków. A czego – dodajmy – nie dały Wrocławie i Szczeciny, choćby podniesione do kwadratu.

Nie wycierajmy więc sobie gęby Kresami, panowie publicyści.

Barbara Kraśnicka

komisji finansowej, powołanej przez Radę Państwa. Jesienią tego roku debatowano nad ustawą konstytucyjną, którą jednogłośnie (a więc także Alfred Hausner) Koło Polskie oprotestowało, w październiku zaś Polacy – obok Słoweńców i Tyrolczyków – głosowali przeciw ustawie.

Prof. Grodziski[3]*:*

[...] Dnia 21 grudnia 1867 roku Rada Państwa uchwaliła kilka ustaw zasadniczych, nazywanych potem łącznie konstytucją grudniową. Obowiązywały one z niewielkimi zmianami do końca monarchii austro-węgierskiej i normowały ustrój *krajów przedlitawskich*[4] w ten sposób, że mniejszość niemiecka miała zagwarantowaną przewagę. [...]

Te zmiany, to jest przeobrażenie Austrii w monarchię dualistyczną i uchwalenie konstytucji grudniowej, wywołały duże poruszenie w społeczeństwie polskim. Wśród inteligencji, części burżuazji oraz szerokich kół drobnego mieszczaństwa rodziło się przekonanie o straconej, i to kto wie, czy nie bezpowrotnie okazji. [...]

W Wiedniu w latach 1864–69 wychodził dziennik „Die Debatte", który był powiązany z politykami węgierskimi, ale także udostępniał swoje łamy dla polskich opinii. Wsparcia temu dziennikowi udzielało Koło Polskie, które na wniosek księcia Leona Sapiehy uchwaliło w czerwcu 1867 r. rozpowszechnienie poprzez posłów prenumeraty; w Brodach zrobić to miał A. Hausner. Wiele publikowanych przez „Die Debatte" artykułów prezentowało stanowisko posłów polskich z Galicji w ważnych dyskusjach politycznych tamtego czasu.

W czerwcu 1868 r. Alfred Hausner złożył mandat. Od tego czasu poświęcił się całkowicie rodzinnej firmie i działalności w Brodach. Zmarł 16 lutego 1887 roku.

[1] Stanisław Grodziski, W *Królestwie Galicji i Lodomerii.* Wydawnictwo Literackie, Kraków 1976.

[2] *Protokoły Koła Polskiego w wiedeńskiej Radzie Państwa (lata 1867–1868),* oprac. Zbigniew Fras, Stanisław Pijaj, Kraków 2001.

[3] S. Grodziski, op. cit.

[4] Galicja należała umownie do *krajów przedlitawskich w* ramach monarchii austro-węgierskiej.

SŁOWNIK GEOGRAFICZNO-HISTORYCZNY

PRZEMYŚLANY

Położenie. Miasto powiatowe w woj. tarnopolskim przy linii kolejowej Lwów–Brzeżany, oddalone od Lwowa o ok. 60 km. Leży na wys. 282 m n.p.m. nad rzeką Gniłą Lipą. W okresie międzywojennym liczyło ok. 5000 mieszkańców. Pracowały tu młyny, gorzelnia, fabryka likierów, rozwinięty był handel. Parafie obu obrządków znajdowały się na miejscu.

Historia. Przemyślany były długo ubogą osadą, często niszczoną podczas najazdów tatarskich. Pod koniec XVI w. należały do Jerzego Ulanickiego, a w 1596 r. na mocy wyroku Trybunału lubelskiego – za zbiegłych tam i nie wydanych przez Ulanickiego włościan – zostały zajęte przez Sebastiana Kuropatnickiego. Prawa miejskie uzyskały zapewne na początku XVII w. W 1642 r. Anna z Polanowic Mrożkowa ufundowała parafię rzym.kat. Wiktoria Elżbieta Potocka sprowadziła do Przemyślan w 1665 r. dominikanów-obserwantów, którzy przetrwali tam do kasaty w 1791 r. Francuski podróżnik w 2. poł. XVII w. opisywał Przemyślany, będące wówczas własnością Sieniawskich, jako miasto otoczone wałami ziemnymi z drewnianą palisadą. W 1698 r. istniał jeszcze niewielki murowany budynek zamkowy kryty gontem. Na przełomie XVIII/XIX w. Przemyślany były dziedzictwem Izabeli z Czartoryskich Lubomirskiej. Po jej śmierci w 1816 r. dostały się, wraz z tzw. *schedą dźwinogrodzką*, jej wnukom Alfredowi i Arturowi Potockim. Przy podziale spuścizny w 1822 r. przypadły Alfredowi, pierwszemu ordynatowi łańcuckiemu, marszałkowi galicyjskiemu. Następnie przeszły na jego syna, również Alfreda, polityka, ministra i premiera Austro-Węgier, który dwukrotnie uzyskał mandat poselski z gminy przemyślańskiej.

W 1851 r. przybył do Przemyślan pszczelarz Julian Lubieniecki i zakupił niewielkie gospodarstwo, w którym założył pasiekę, złożoną

A P E L

Może ktoś ma zdjęcia pomnika Jana III Sobieskiego, który stoi przy Trakcie Gliniańskim (za Łyczakowem) na terenie wsi Lesienice, przy drodze z Krzywczyc, koło jeziora. Pomnik ten to betonowa piramida [obelisk?]. Z nieistniejącego napisu pamiętam tylko *Janowi III Zwycięzcy*... Został on postawiony na pamiątkę zwycięstwa nad 40-tysięcznymi oddziałami tatarskimi. Pomnik jest dziś nachylony, bo kołchoz chciał go kiedyś zwalić, ale się nie udało. Pisałem o tym do Ochrony Zabytków, bez skutku. Teraz chciałbym odtworzyć napis, potrzebne jest więc zdjęcie – jeśli ktoś je posiada.

Druga sprawa, to tak zwane Lesienickie piaski, gdzie za Niemców rozstrzeliwano Żydów, Polaków, nawet Włochów. Ludzie, którzy mieszkali przy Trakcie Gliniańskim, słyszeli, jak śpiewali *Serdeczna Matko*, *Pod Twoją obronę*. Zwozili ich przeważnie nocą. Chciałbym, póki żyję, postawić przynajmniej krzyż, więc poszukuję osób, których krewni lub znajomi tam zginęli. Można by razem zacząć starania do władz o pozwolenie na postawienie krzyża. Może żyją jeszcze świadkowie tych mordów?

W obu sprawach oczekuję wiadomości, które dopomogłyby mi w staraniach. Proszę, dopomóżcie!

Adolf Wisłowski

Mój adres:
ul. Trakt Gliniański 161,
Lwów 29067, Ukraina
tel. 00 / 380-322 / 96-81-09

Drogi Panie Dolu! Będziemy się rozpytywać na wszystkie strony. Życzymy zdrowia, sił i dalszej energii we wszystkich Pana pięknych poczynaniach.

Z TAMTEJ STRONY

DZIEWIĘĆ LAT

Pani Emilia Chmielowa, prezes FOPnU. udostępniła nam następujący dokument:

RELACJA O DZIAŁALNOŚCI PROGRAMOWEJ FEDERACJI ORGANIZACJI POLSKICH NA UKRAINIE

Dziewiąty rok działalności programowej Federacji Organizacji Polskich zbliża się ku końcowi. Podobnie jak w latach ubiegłych, szczególną troską objęte były te dziedziny działalności, które sprzyjają koncentracji, konsolidacji, rozwojowi duchowemu i kulturalnemu społeczeństwa polskiego, zamieszkującego terytorium [państwa] Ukrainy:

- rozwój szkolnictwa,
- opieka nad kombatantami,
- imprezy rocznicowe wybitnych Polaków, pochodzących z tych terenów: w Żytomierzu w 60-lecie śmierci I. Paderewskiego, we Lwowie w 100-lecie urodzin M. Hemara, w Hołoskowie i Kołomyi w 260. rocznicę urodzin F. Karpińskiego, w Winnicy i Humaniu w 200-lecie urodzin S. Goszczyńskiego),
- Dni Kultury Polskiej na Wołyniu, w Donbasie, na Krymie, w Charkowie itd.,
- Warsztaty Edukacyjne w dziedzinie kultury w Barze i Lwowie,
- Konkurs Recytatorski „Kresy 2001" w Kijowie i Lwowie,
- Spotkanie Polskich Rodzin Muzykujących w Samborze,
- wydawnictwa: *Kultura polska w życiu Ukrainy*, *Habemus Papam*, Biuletyn FOPnU,

- uczestnictwo: w Europejskiej Unii Wspólnot Polonijnych, w Radzie Polonii Świata, w II Zjeździe Polaków i Polonii, w spotkaniu konsultacyjnym dot. realizacji uchwał Zjazdu, w III Młodzieżowym Zlocie Polonijnym „Orle Gniazdo",
- uczestnictwo w konferencjach międzynarodowych:

– II i III sesja Ukraina i Polska – *Strategiczne partnerstwo na przełomie tysiąclecia. Historia – Dzień dzisiejszy – Przyszłość – Perspektywa* – Instytut Studiów Ukraińsko-Polskich, Kijów,
– *Polacy w Gruzji*, Lublin,
– Konferencja Polsko-Ukraińska, Lwów,
– IV Międzynarodowa Konferencja Polskiego Towarzystwa Uniwersalizmu oraz warsztaty *Ogrodnicy Świata – młoda inteligencja w Europie przemian*, Warszawa,
– Międzynarodowa Konferencja organizacji pozarządowych we współpracy z Niemiecko-Ukraińskim Forum: *Dziesięć lat działalności pozarządowych organizacji w Niemczech i na Ukrainie*, Niemcy.

Przy końcu roku bieżącego [dotyczy r. 2001 – przyp. red.], podobnie jak w ubiegłym, ma się odbyć kolejny objazd, tym razem obwodu winnickiego, celem:
- zbadania stanu zachowania języka polskiego w środowiskach Polaków, w tym również w parafiach rzymskokatolickich,
- zbadania możliwości nauczania języka polskiego w miejscowościach zamieszkanych przez Polaków, oraz zapotrzebowania na pozycje edukacyjne, pomoce dydaktyczne i in.,
- zbadania możliwości przygotowania kadry nauczycielskiej wśród miejscowych Polaków-pedagogów,
- zbadania nowych możliwości bazowych dla przeprowadzania corocznych *zielonych szkół* w okresie wakacji,
- zorganizowania dalszej pomocy i opieki w tym kierunku.

Autorytet Federacjii Organizacji Polskich nU. jako organizacji pozarządowej jest niezaprzeczalny i uznany daleko poza granicami państwa Ukrainy i RP.

Rok 2002 będzie jubileuszowym – dziesiątym rokiem działalności Federacji. Pragniemy uczcić go jeszcze bardziej

z ok. 400 uli. W 1857 r. Lubieniecki zorganizował w Przemyślanach własną szkołę pszczelarską, jedyną w tym czasie tego typu szkołę zawodową w Europie. Szkoła początkowo kształciła 40, a w latach następnych już po 100 uczniów rocznie. Pochodzili oni z różnych stron Galicji i z zaboru rosyjskiego, rekrutowali się z różnych warstw społecznych. Nauka była bezpłatna, uczniowie pokrywali tylko koszty utrzymania. Ostatnia wzmianka o szkole zapisana została w 1861 r.

W 1910 r. wielki pożar zniszczył miasto niemal całkowicie, szybko jednak zostało odbudowane.

Zabytki. Parafialny kościół dominikański pw. śś. Piotra i Pawła wraz z budynkiem klasztornym, ufundowane w 1665 r. przez W.E. Potocką. Kościół na planie krzyża, z wielobocznym prezbiterium i dwiema małymi kaplicami po obu stronach nawy głównej, z jedną wieżą i z pięknym portalem głównym. Po II wojnie przebudowany na fabrykę parasoli, przy czym ścięto wieżę. Figura Matki Boskiej z XVIII w. w pobliżu kościoła.

Bożnica z XVIII w. na rzucie kwadratu, z przyporami na narożach. Gmach „Sokoła" w stylu neorenesansowym.

Czasy obecne. Mimo usilnych, dramatycznych starań miejscowej społeczności polskiej władze przez długi czas nie chciały zwrócić kościoła. W 1993 r. wydały zezwolenie na budowę kaplicy na cmentarzu, którą następnie kazały rozebrać. Wierni jednak się temu oparli. Obecnie do kultu służy już odzyskany kościół.

Według danych z 1992 r. w Przemyślanach żyło około 80 Polaków, a w okolicznych wsiach ok. 250.

ROHATYN

Położenie. Miasto powiatowe w woj. stanisławowskim, oddalone o 93 km na płd.wsch. od Lwowa, przy linii kolejowej Chodorów–Tarnopol. Położone nad Gniłą Lipą, na wys. 253 m n.p.m. W okresie międzywojennym liczyło ok. 7000 mieszkańców. Posiadało cegielnie, młyny, fabrykę świec, gorzelnie i dobrze rozwinięty handel.

Historia. Istniejąca wcześniej w miejscu Rohatyna osada Filipowce wzmiankowana była już w XII w. Od końca XIV w. Rohatyn wchodził w skład królewszczyzn jako starostwo niegrodowe. Miejskie prawa magdeburskie uzyskał w 1415 r. W 1. połowie XV w. była tu już parafia rzym.kat., o czym świadczy dokument z r. 1440,

wytężoną, owocną pracą zarówno na rzecz rozwoju społeczeństwa polskiego na Ukrainie, jak i na rzecz zbliżenia polsko-ukraińskiego na wszystkich poziomach życia społecznego i politycznego, którego w pewnej mierze jesteśmy rzecznikami.

Wierzymy, iż mimo niełatwej sytuacji finansowej Państwa Polskiego i nowych zmian, które zaszły w Rządzie RP, otrzymamy poparcie zarówno moralne, jak i finansowe dla naszej działalności społecznej, będącej przede wszystkim naszą wspólną sprawą, na imię której – POLSKA RACJA STANU.

Emilia Chmielowa
prezes FOPnU

CMENTARZ ŁYCZAKOWSKI

Przedstawiamy kolejne sprawozdanie z prac nad ratowaniem zabytkowych obiektów – grobowców, pomników i nagrobków – naszego najpiękniejszego, ale nieustannie degradowanego przez obecnych administratorów, cmentarza na Łyczakowie we Lwowie.

Przypomnijmy, że prace są tam wykonywane w oparciu o fundusze zbierane corocznie na kwestach w dni Wszystkich Świętych i Zaduszki na cmentarzach wielu miast polskich, w tym g ł ó w n i e w Krakowie. Informację o efekcie ubiegłorocznej kwesty (r. 2001) na czterech cmentarzach krakowskich podaliśmy w CL 4/01. A oto porównanie z rezultatami z innych ośrodków:

Kraków: 28 946 zł

Inne: Jelenia Góra, Kędzierzyn-Koźle, Węgliniec, Rabka, Przemyśl, Kielce, Nysa, Bydgoszcz, **Warszawa**, **Wrocław**, Milicz, Piła, Tarnów – razem: **46 288 zł**

Kwoty zebrane w roku 2001 będą wykorzystywane w bieżącym roku.

Prace – jak wiemy – wykonywane są przez lwowskich Polaków, którymi kieruje nadal p. Andrzej Nuckowski. Przypomnijmy również, że w ramach akcji karczuje się dzikie drzewka i krzewy, które rozsadzają grobowce, zamyka odbite płyty wejściowe, na nowo ustawia się zrzucone kamienne lub metalowe ozdoby, figury i krzyże (o ile można je znaleźć w pobliżu, często zatopione w ziemi). W niektórych obiektach zestawia się i wzmacnia rozpadające się kamienne struktury, oczyszcza się napisy (tam, gdzie nie zostały celowo usunięte).

Trzeba zastrzec – jak to już pisaliśmy w CL 2/2000) – że na Łyczakowie nie ma możliwości przeprowadzania kosztownych prac konserwatorskich, jak na Powązkach czy Rakowicach (i to po parę obiektów na rok). We Lwowie chodzi o zabezpieczenie obiektów przed całkowitą destrukcją oraz – w miarę możliwości – przed zawłaszczeniem przez nowych mieszkańców miasta (za mniej lub bardziej oficjalną zgodą dyrektora *cmentarza-muzeum*). Charakterystyczne, że zawłaszczane grobowce są nie tylko pozbawiane dawnych napisów, ale w całości pokrywane lastrikiem, co zupełnie niszczy ich zabytkową wartość architektoniczną i kamienne lico. Tak się postępuje na zabytkowym cmentarzu, którego obecny administrator mieni się *dyrektorem muzeum*. Tragifarsa.

W CL 2/97, 3/98 i 2/2000 relacjonowaliśmy wyniki prac do końca roku 1999. Obecnie przestawiamy efekty dwóch ostatnich lat.

Grobowiec J.S. Zborowskiego (pole 2) przed zabezpieczeniem i po wykonaniu prac

Uporządkowano pola z obiektami (grobowcami, nagrobkami):

kwiecień–październik 2000, pola
nr 1 – 115 obiektów
nr 19 – 301
nr 21 – 207
nr 22 – 255
nr 30 – 93
nr 70 – 51
razem 1022

kwiecień–czerwiec 2001, pola
nr 33 – 96 obiektów
nr 50 – 150
nr 51 – 171
nr 54 – 174
nr 55 – 249
razem: 840

lipiec–październik 2001, pola:
nr 53 – 150 obiektów
nr 57 – 328
nr 59 – 319
nr 72 – 193
razem: 990

Ogółem więc w latach 2000–2001 pracowano na 15 polach i uporządkowano w sumie 2852 obiekty, o różnym charakterze i wartości, wielkości i stanie zachowania, a w konsekwencji w różnym zakresie wkładu pracy i materiałów. Jako przykład bardziej złożonej roboty pokazujemy zdjęcia grobowca Stanisława Juliusza Zborowskiego na polu 2 (blisko placu wejściowego na cmentarz) przed i po pracach.

Jerzy Żuk

SZKOŁA SOBOTNIA

Dla orientacji naszych Czytelników warto poinformować o przykładowym programie nauki w jednej z polskich szkół sobotnich za wschodnią granicą, w małej i odległej miejscowości.

Nauka trwa cztery lata (prawdopodobnie przez 9 miesięcy w roku). Program tygodniowy przedstawia się następująco:

– I klasa: **1** godz. języka polskiego, **2** godz. *kultury polskiej*;

– II i III klasa: **1** godz. j. polskiego, **1** godz. historii Polski, **2** godz. *kultury polskiej*;

w którym wymieniony jest Bartłomiej, proboszcz rohatyński. Około 1460 r. Kazimierz Jagiellończyk dał Rohatyn wraz z przyległościami rodzinie Porajów z Chodcza – jako zastaw za pożyczone przez nich sumy, Otton z Chodcza w 1535 r. dotację na utrzymanie parafii, której proboszczem około 1590 r. był Piotr Skarga. Po śmierci Ottona Rohatyn powrócił do dóbr stołu królewskiego. Król potwierdził wówczas miastu prawa magdeburskie, uwolnił tamtejszych mieszczan od daniny owsa, kapłonów, jaj i sera, a także przeznaczył na obwarowania miejskie jednoroczny pobór części podatków. W 1539 r. w specjalnym przywileju król pozwolił na wybudowanie ratusza na rynku i umieszczenie w nim postrzygalni sukna, z której dochód miał być obrócony na utrzymanie obwarowań. Starosta Mikołaj Wysocki z Kwoczan sprowadził tu w 1614 r. dominikanów i ufundował im klasztor, który przetrwał do 1784 r. Zygmunt III zezwolił w 1616 r. na wystawienie nad strugą Babianką łaźni publicznej, przeznaczając dochód z niej na potrzeby miasta. Sprawozdanie z lustracji przeprowadzonej w 1663 r. wylicza istniejące w Rohatynie cechy. Ilość ich świadczy o wysokim stopniu rozwoju miejscowego rzemiosła. W 1765 r. starostwo rohatyńskie przyniosło 37 566 zł czystego dochodu.

Po pierwszym rozbiorze Polski władze austriackie oddały Rohatyn Zofii z Krasińskich Lubomirskiej jako odszkodowanie za przejęte przez skarb państwa jej dziedziczne majątki dobromilskie. W XIX w. właścicielami Rohatyna byli Krasińscy. W 1864 r. powstał tu zakład ubogich fundacji Leopolda Krasińskiego, utrzymujący szkołę dla dziewcząt i szpital. Fundacją zarządzała każdorazowo przełożona ss. Szarytek we Lwowie.

– IV klasa: **1** godz. j. polskiego, **1** godz. geografii Polski, **1** godz. *narodoznawstwa* oraz **2** godz. *kultury polskiej*.

Do przedmiotu k u l t u r a należą: taniec i teatrzyk oraz malarstwo i haftowanie. I tu mielibyśmy dość istotne zastrzeżenie: zdecydowana dysproporcja między nauką języka polskiego – co chyba najbardziej istotne dla dzieci, które mają być (?) Polakami, a żyją w środowisku, w którym ten język praktycznie wyszedł z użycia (poza nielicznymi rodzinami – dotyczy to stron bardziej odległych od granicy i od większych ośrodków), a *kulturą*, w której dużą część czasu zajmuje malowanie i haftowanie (nawet gdyby tematyka owego malarstwa i haftu miała dotyczyć problematyki polskiej – ale czy to miałoby sens? Ile można...). Przecież takie zajęcia dzieci mają zapewne w szkołach ukraińskich, do których normalnie uczęszczają. A po jakiemu mówi się do dzieci na tych lekcjach? Sądzimy, że proporcje należałoby odwrócić, pozostawiając oczywiście taniec i teatrzyk.

O potrzebie krytycznego spojrzenia na dotychczasowy tryb sobotniego nauczania polskości świadczy marna znajomość języka polskiego (a także bodaj podstawowych wiadomości z polskiej historii i geografii) u dzieci i młodzieży w stronach, o których wyżej. Przekonaliśmy się o tym parokrotnie.

Powyższe uwagi oczywiście nie odnoszą się do szkół oraz dzieci i młodzieży w miejscowościach, gdzie środowiska polskie są liczebne, a programy szkół sobotnich ustawiono w sposób racjonalny.

Kazimierz Selda

Wydarzenia

◆ Data otwarcia odbudowanego (choć nie całkiem, bo bez kolumnady) **Cmentarza Obrońców Lwowa**, przewidywana – w myśl uzgodnień na wyższym niż administracja *Lwiwa* szczeblu – na 20/22 lutego br., znowu nie doszła do skutku, podobnie jak 1, 11 i 18 listopada ub.r. Na zamontowanie ostatnich, uzgodnionych elementów (pomniki Francuzów i Amerykanów, lwy) administracja dotąd nie dała swego pozwolenia...

W Krakowie i dalej

KRAKÓW GENERAŁOWI ROZWADOWSKIEMU

W Krakowie nadano imię Generała Tadeusza Rozwadowskiego nowemu dwupoziomowemu węzłowi na skrzyżowaniu wylotu z miasta w kierunku północnym (al. 29 Listopada i dalej *stara* szosa do Warszawy, przez Kielce–Radom) z obwodnicą Opolska/Lublańska, otwartemu z końcem listopada 2001 r. Imię to miał nosić jeden z dwóch nowych mostów przez Wisłę, ale radni miejscy nie mogą się na razie pogodzić na temat ich patronów.

Przypomnijmy postać i zasługi naszego Bohatera:

Generał urodził się w 1866 r. w Babinie w woj. stanisławowskim, w patriotycznej rodzinie ziemiańskiej Jordan-Rozwadowskich. Niższe gimnazjum ukończył we Lwowie, potem – kontynuując rycerskie tradycje rodziny – wstąpił do szkoły wojskowej w Hranicach na Morawach, a swoją wiedzę doskonalił w Wojskowej Akademii Tech-

nicznej w Wiedniu. Po trzech latach służby liniowej w Jarosławiu został przyjęty do Szkoły Wojennej, najtrudniejszej austriackiej szkoły wojskowej. Po jej ukończeniu wszedł w skład oficerów Sztabu Generalnego. Ożenił się z hr. Marią Komorowską.

Po paru latach służby w różnych formacjach w Austrii i na Węgrzech został attache wojskowym przy poselstwie austriackim w Bukareszcie, gdzie przebywał do 1907 r., po czym wrócił do kraju rodzinnego, gdzie objął dowództwo 31 pułku artylerii polowej w Stanisławowie. W 1910 r. został pułkownikiem. Tam zwrócił na siebie uwagę, zwłaszcza w czasie manewrów cesarskich w r. 1911, nowatorskimi rozwiązaniami taktycznymi (przeprowadzenie artylerii przez góry, które zastosowano potem w I wojnie światowej) oraz konstrukcyjnymi.

W 1913 awansował na generała-majora. W tym czasie żywo interesował się organizacją polskich paramilitarnych organizacji niepodległościowych, jak Drużyny Bartoszowe, „Strzelec", Drużyny Polowe „Sokoła", oraz nawiązał kontakty z J. Piłsudskim, J. Hallerem, W. Sikorskim.

Na wojnę w 1914 r. wyruszył jako dowódca I brygady artylerii polowej. Odnosił wielkie i liczne sukcesy na polach bitew z armią rosyjską, m.in. pod Gorlicami. Po tej ostatniej został dowódcą 43 dywizji piechoty (bukowińskiej) i na jej czele wymaszerował do Lwowa, przyczyniając się do jego zdobycia z rąk rosyjskich (pod Lwowem sprzeciwił się wysadzeniu przez saperów austriackich wodociągu z Dobrostan). W tym czasie został mianowany marszałkiem polnym-porucznikiem.

Po zajęciu większości wschodniej Galicji / Małopolski Tadeusz Rozwadowski był poważnym kandydatem na stanowisko namiestnika. Nie doszło do tego, ponieważ Rozwadowski postawił ostre warunki, głównie w kwestii ograniczenia bezlitosnego obchodzenia się austriackich władz wojskowych z ludnością oraz nadużyć, czym wzbudził do siebie niechęć naczelnego dowództwa austriackiego. Po zdobyciu Złoczowa i związanych z tym nieporozumieniach z innym, nieudolnym, generałem austriackim Rozwadowski został zdymisjonowany i przeniesiony w stan spoczynku.

Podjął wówczas działalność gospodarczą i założył Spółkę Akcyjną Eksploatacji Soli Potasowych w Kałuszu i Stebniku. Doprowadził też do zwolnienia z armii rolników, których nieobecność w domu pogłębiała degradację ekonomiczną gospodarstw. Po *kryzysie przysięgowym* w Legionach ochraniał oficerów i żołnierzy przed represjami ze

Zabytki. Z istniejących w Rohatynie w XVIII w. trzech kościołów rzym.kat. (parafialny, dominikański i pw. św. Barbary) do dziś zachował się tylko parafialny pw. św. Mikołaja bpa z XVI–XVII w. (fundacja z 1539 r.), zbudowany z kamienia ciosowego.

W Rohatynie urodziła się w 1505 r. słynna Roksolana. Naprawdę nazywała się Anastazja Lisowska i była córką miejscowego popa. Uprowadzona podczas jednego z napadów tatarskich, sprzedana została do haremu Sulejmana I. Piękna branka podbiła serce sułtana, tak że uczynił z niej swą pierwszą żonę. Jako sułtanka miała wielkie wpływy w środowisku dworskim.

Czasy obecne. Kościół parafialny jest czynny, zwrócony do kultu w 1991 r.

TREMBOWLA

Położenie. Miasto powiatowe w woj. tarnopolskim, przy linii kolejowej Tarnopol–Kopyczyńce (–Czortków–Stanisławów), w odległości 30 km od Tarnopola. Położona nad rzeką Gnieznią (zob. CL 2/2000) w pobliżu jej ujścia do Seretu. W okresie międzywojennym liczyła ok. 8 tys. mieszkańców. Parafie obu obrządków były na miejscu.

Historia. Stary gród, założony w okresie ruskim, w X w., po podbiciu ziemi Lachów przez ks. Włodzimierza Wielkiego. Od 1097 stolica odrębnego księstwa trembowelskiego, następnie włączona do księstwa halickiego. W 1241 r. zniszczona w czasie najazdu tureckiego. Przyłączona do Polski przez Kazimierza Wielkiego w 1366 r., weszła w skład dóbr królewskich. Król wzniósł tu murowany zamek, obok którego powstało miasto. W 1382 r. otrzymała Trembowla miejskie prawo magdeburskie. W XV w. stała się siedzibą

strony władz austriackich i wcielaniem w szeregi zaborczej armii. Po walkach pod Rarańczą (15––16 lutego 1918 r.) jako marszałek polny, odznaczony Krzyżem Marii Teresy, interweniował u cesarza, by uchronić przed represjami oficerów i żołnierzy II Brygady Legionów (tzw. *Żelaznej*), internowanych w Huszt, ratując wielu przed karą śmierci.

Po proklamowaniu przez Radę Regencyjną (7 X 1918) niepodległości Państwa Polskiego gen. Rozwadowski został mianowany naczelnym wodzem i szefem sztabu generalnego. W tym czasie m.in. organizował pomoc wojskową dla Lwowa, opanowanego przez ruskie oddziały b. armii austriackiej. Na skutek nieporozumień z Piłsudskim co do granic, formy ustrojowej i charakteru armii przyszłego państwa, opuścił dotychczasowe stanowiska i został mianowany dowódcą armii „Wschód", której zadaniem było wyswobodzić Lwów i Małopolskę Wschodnią z rąk ukraińskich. Ofensywa polska, dowodzona przez gen. Rozwadowskiego, zakończyła się sukcesem [jej koncepcję i przebieg przedstawimy osobno].

Naczelnik Państwa J. Piłsudski desygnował Rozwadowskiego na szefa polskich misji wojskowych w Paryżu, Londynie i Rzymie. Predestynowały go do tego stanowiska zarówno kompetencje wysokiej klasy specjalisty wojskowego, jak i doświadczenie dyplomaty, takt i kultura osobista, biegła znajomość języków francuskiego i niemieckiego. Na nowym stanowisku zetknął się z nieprzychylnym stanowiskiem i wręcz wrogim stosunkiem do Polski, zwłaszcza premiera brytyjskiego Lloyda George'a. Do sukcesów więc dyplomacji Rozwadowskiego oraz R. Dmowskiego, I. Paderewskiego, M. Zamoyskiego, należało m.in. uzyskanie zgody *Ententy* na obsadzenie polskimi wojskami Małopolski Wschodniej (do Zbrucza) oraz użycie *Błękitnej Armii* gen. J. Hallera do walki z oddziałami ukraińskimi (a także oddalenie żądań Niemców zwrotu ziem Pomorza, Wielkopolski i Śląska. Natomiast niepowodzeniem zakończyły się wysiłki co do pozostawienia przy Polsce Spisza, Orawy i Śląska Cieszyńskiego-Zaolzia).

W 1920 r. Rozwadowski powrócił do Warszawy, by jako Szef Sztabu Generalnego ratować Kraj przed nawałą bolszewicką. Był współautorem koncepcji rozegrania Bitwy Warszawskiej, która uratowła Polskę i Europę przed zalewem komunizmu.

Na stanowisku szefa SG pozostał do 1921 r. Zgodnie ze swymi preferencjami został wtedy mianowany Generalnym Inspektorem Kawalerii, dążąc do podniesienia poziomu uzbrojenia, wyszkolenia oddziałów oraz dowódców w Centralnej Szkole Kawalerii w Grudziądzu.

W czasie *zamachu majowego* w 1926 r. prezydent S. Wojciechowski postawił Rozwadowskiego na czele wojsk wiernych przysiędze i Kostytucji. Po zwycięstwie Piłsudskiego został więc osadzony w więzieniu, ale zwolniony w 1927 r. Te przeżycia nadszarpnęły jego zdrowie. Zmarł w 1928 r. na nierozpoznaną chorobę. Spoczął na Cmentarzu Obrońców Lwowa.

Skrót życiorysu, na podstawie książki „Gen. Tadeusz Jordan Rozwadowski" (1929).

Wyrażamy uznanie Władzom Krakowa za uczczenie imienia naszego znakomitego Generała.

Andrzej Pawłowski

Notatki

◆ Kiedy przed kilku laty prof. Andrzej Gołaś (1/2 krwi lwowskiej) został prezydentem Krakowa, życzyliśmy Mu, by udało się wreszcie zbudować nowy most przez Wisłę. Chodziło nam oczywiście o wygodniejszy wyjazd z miasta w kierunku Lwowa, bo most Dębnicki jest stale zatłoczony.

Tymczasem Pan Prezydent ofiarował Krakowowi (i nam!) **dwa mosty: Salwatorski i Kotlarski** (nazwy tymczasowe), otwarte niemal równocześnie – w październiku i listopadzie 2001 r. W tym samym czasie został udostępniony dwupoziomowy węzeł im. gen. Rozwadowskiego – o tym piszemy wyżej.

A więc gratulacje, Panie Prezydencie!

◆ Nagrodę Stoł. Król. Miasta Krakowa za rok 2001 otrzymała m.in. **profesor UJ Maria Podraza-Kwiatkowska**. Z wykształcenia jest polonistką i historyczką sztuki. Tematem jej zainteresowania jest głównie literatura Młodej Polski. Laureatka zwierzyła się „Dziennikowi Polskiemu" (254/01): W *dzieciństwie mieszkałam w Żółkwi koło Lwowa. Przyjechałam do Krakowa ze Lwowa w 1945 r. (w ramach przesiedlenia) w bydlęcym wagonie, bez niczego – kilka walizek rozmokło po drodze.* [...] *Skoro nie mogłam być we Lwowie – cieszę się, że jestem właśnie w Krakowie.*

◆ Z początkiem listopada 2001 r. **zmarł Artur Wieczysty**, profesor Politechniki Krakowskiej, wybitny – w skali ogólnopolskiej – specjalista z zakresu inżynierii środowiska.

A. Wieczysty urodził się w 1929 r. we Lwowie, był synem Mariana Wieczystego, znakomitego nauczyciela tańca we Lwowie (ul. Kopernika 15), a po wojnie w Krakowie. Szkołę tańca prowadził we Lwowie również dziadek Profesora, Szpineter (pisaliśmy o tym w CL 1/96).

◆ Z końcem listopada odbyła się w Krakowie doroczna Msza św. w **intencji polskiego Stryja i stryjan**. Miejscem tych Mszy jest kościół oo. Paulinów na Skałce, gdzie (w prawej nawie) znajduje się tablica upamiętniająca walki i żołnierzy I Pułku Artylerii Zmotoryzowanej, który stacjonował przed wojną w Stryju. Tablicę położono w 1974 r., a poświęcił ją ówczesny arcybiskup krakowski, kard. Karol Wojtyła.

◆ **Młodzież Wszechpolska pikietowała** pod konsulatem ukraińskim w Krakowie, protestując przeciw permanentnemu uniemożliwianiu przez administrację Lwowa zakończenia prac renowacyjnych i otwarcia na nowo Cmentarza Orląt. Zapowiedziano, że jeśli w tej sprawie nadal nic się nie zmieni, będą powtarzać pikietę co tydzień. Przypomniano, że organizację MW współzakładało w 1922 r. wielu Obrońców Lwowa.

Dowiadujemy się, że istnieje różnica zdań między *gubernatorem* Lwowa a *merem* Kujbidą (skądinąd kawalerem orderu watykańskiego św. Grzegorza). Ten pierwszy domaga się realizacji polecenia prezydenta Kujbidy w kwestii zaniechania obstrukcji, ten drugi tłumaczy się negatywną postawą *rady miejskiej* Lwowa.

◆ W jedną z niedziel grudniowych urządzono w Polsce zbiórkę na rzecz Kościoła katolickiego na Wschodzie. Można było m.in. zakupywać książki religijne w języku rosyjskim i ukraińskim dla *parafii ukraińskich*, tylko nie podano jakich: rzymsko- czy greckokatolickich. Jeżeli dla tych pierwszych – to dlaczego nie po polsku? Czy Polacy w Polsce są zainteresowani w wynarodowieniu Polaków za wschodnią granicą? **Nie dajmy się zwariować**.

starostwa i sądu ziemskiego. Kazimierzowski zamek rozbudował w 1534 r. Jan Tenczyński, kasztelan krakowski, używając jako budulca drewna. W takiej formie zamek przetrwał do początków XVII w. Gdy zaczął grozić ruiną, Aleksander Bałaban, starosta trembowelski, wybudował nowy, obszerniejszy, w całości murowany. Ukończony w 1631 r. zamek był założony na planie pięcioboku, z wielkim owalnym rondlem i stanowił najpotężniejszą warownię w tych stronach.

Wprawdzie w czasie pierwszego większego oblężenia w 1648 r., w nastroju paniki po klęsce pilawskiej, zamek został opuszczony bez walki i złupiony przez Kozaków, to w latach następnych wytrzymał wiele oblężeń. W 1672 r. podczas najazdu Turków na Polskę, choć przygotowany do obrony i zaopatrzony w zapasy na 20 tygodni, znów poddał się wobec ogromnej przewagi nieprzyjaciela. Turcy po kilku dniach opuścili zamek w stanie nienaruszonym. Trzy lata później, gdy na Podole natarła armia turecko-tatarska, załoga zamku, składająca się z 82 dragonów i 120 uciekinierów, podjęła obronę i wytrzymała ciężkie oblężenie, które zamieniło zamek w stertę gruzu. Obroną dowodził kapitan Jan Samuel Chrzanowski, a dużą, obrosłą legendą rolę odegrała w niej jego żona, Anna Dorota. Turcy odstąpili od Trembowli na wieść o nadciągającej odsieczy pod wodzą Sobieskiego. W 1676 r. Sejm Rzeczypospolitej podjął uchwałę o odbudowie zamku. Starannie odrestaurowany i wyposażony, wytrzymał nowe oblężenie podczas niespodziewanego najścia Turków, a jego załoga kulami z dział zmusiła napastnika do odwrotu. Po odzyskaniu przez Polskę Kamieńca Podolskiego (1699) zamek stracił swe znaczenie strategiczne i zaczął podupadać. Pod koniec XVIII w. miał jeszcze częściowo zachowane dachy, lecz niebawem zaczęto rozbierać wewnętrzne ściany zamku, a uzyskany tak budulec wykorzystywano przy budowie koszar dla konnicy austriackiej, która stacjonowała tu w XIX w.

Duże znaczenie w dziejach Trembowli, obok zamku, miał także klasztor karmelitów trzewiczkowych, założony w 1620 r. staraniem Piotra Ozgi, starosty trembowelskiego, wspieranego przez okoliczną szlachtę. Przy kościele klasztornym erygowana została parafia rzym.kat. Klasztor był kilkakrotnie niszczony w czasie najazdów tureckiech, ostał się jednak podczas kasaty józefińskiej i przetrwał aż do 1945 r.

Lampa naftowa I. Łukasiewicza

◆ W styczniu przypadła 120. rocznica śmierci Ignacego Łukasiewicza, wynalazcy – w skali światowej – lampy naftowej.

Przypomnijmy, że Łukasiewicz pracował w lwowskiej aptece Mikolascha przy ul. Kopernika i tam, po licznych eksperymentach, przeprowadził rafinację ropy naftowej, a jej produkt zastosował w skonstruowanej według swojego pomysłu lampce. Apteka ta stała się też pierwszym oświetlonym lampami naftowymi lokalem na świecie, pierwszym zaś budynkiem – Szpital Powszechny na Łyczakowie.

◆ 8 stycznia prasa przypomniała, że w dniu tym minęła 35 rocznica tragicznej śmierci (1967) aktora **Zbyszka Cybulskiego**. Urodził się w Kniażach k. Śniatyna w 1927 r. Miałby dziś 75 lat. Jego sylwetkę zamieściliśmy w CL 2/97.

◆ Przed pięcioma laty (CL 1/97) pisaliśmy o corocznym kolędowaniu w domu pp. Bokłaków w Krakowie – wtedy był to wieczór czterdziesty. W tym roku spotkano się tam po raz... łatwo obliczyć.

Pan Dominik Bokłak pochodzi ze Stanisławowa i do niedawna brał udział we wszystkich wycieczkach w rodzinne strony i stanisławowskich spotkaniach. Pomimo dziewięćdziesiątki (z okładem) nadal – przy pomocy żony, czterech córek i gromady wnuków (w większości związanych z muzyką i śpiewem) – przyjmuje tłum zaproszonych na kolędowanie gości, aktywnie to wspólne śpiewanie prowadzi. W dużym pokoju (kamienica sprzed I wojny) zbiera się do 50 osób!

W tegorocznym 45. wieczorze kolęd wziął udział m.in. o. Leon Knabit, benedyktyn z Tyńca (dobrze znany z TV), który wygłosił *słowo*, apelując o utrwalenie w zbiorowej pamięci tych niezwykłych wieczorów. Zaśpiewali także chórzyści z „Organum" (nie wszyscy oczywiście) i paru solistów oraz kilkunastoletnia wnuczka Gospodarza, o której kiedyś, jako śpiewaczce, na pewno usłyszymy. Roman Hnatowicz dał mały, znakomity jak zwykle, mały *recital* poetycki.

Antypody

Już kiedyś pisaliśmy o *Związku Ludności Śląskiej* i jego staraniach o rejestrację. Ponieważ polskie sądy ich nie usatysfakcjonowały, poszli do... Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu.

Ale i tam nie uznano ich za odrębny naród (pieruna!). Jeden z ich liderów, Jerzy Gorzelik (jak ma się czytać to nazwisko *po śląsku*?), zapowiedział, że *idea odrębności śląskiej będzie propagowana na innym forum*. Zapowiedziano powołanie w tym celu nowego stowarzyszenia, o zmodyfikowanym statucie i innej nazwie, ale pojawi się tam pojęcie *narodowości śląskiej*. Wszystko to dzieje się w województwie katowickim, a więc niemal w Polsce centralnej.

Można by powiedzieć, że jak nie wiadomo o co chodzi, to **na pewno chodzi o pieniądze**. A mniejszości narodowe dotąd dostawały niemały grosz. „Niestety", właśnie przeczytaliśmy w prasie, że te dotacje okrojono, przeciw czemu mocno protestują mniejszości, na pierwszym miejscu... Ukraińcy (taką kolejność podała prasa (Dz.Pol. 299/01). Mogą więc mieć trudności z wydawaniem antypolskiego „Naszego Słowa". Jakże nam przykro...

Stanisław Sochaniewicz

KULTURA NAUKA

LWÓW W KRAKOWSKIEJ AKADEMII PEDAGOGICZNEJ

W drugiej połowie listopada '01 odbyła się w AP w Krakowie VI Ogólnopolska Konferencja Naukowa pt. *Kraków–Lwów: książki, czasopisma biblioteki XIX i XX wieku*. O konferencjach tych, organizowanych co dwa lata przez Instytut Bibliotekoznawstwa i Informacji Naukowej AP, każdorazowo donosimy, podobnie jak i o wydawanych tomach materiałów z tych sesji, niestety zwykle ukazujących się w dwa lata później (właśnie oczekiwany jest tom z V Konferencji z 1999 r.).

Na omawianej sesji znalazły się 53 referaty, z tego – jak policzyliśmy – 18 dotyczyło wyłącznie Lwowa do r. 1939, dalszych 5 po połowie Lwowa i Krakowa lub całej Galicji/Małopolski, natomiast 13 wyłącznie dawnego Krakowa. Trzy referaty wygłoszone przez prelegentki ukraińskie związane były z i c h kulturą. Pozostałe wypowiedzi dotyczyły innych tematów, przeważnie powojennych (ciekawostka: jeden z nich to *Rozważania o upadku „Przekroju"*). W konferencji wzięli udział naukowcy i praktycy z Krakowa, Wrocławia, Opola, Katowic, Rzeszowa, Bydgoszczy, Tarnowa, Kielc, Torunia, Płocka, Łodzi, a także ze Lwowa (z językiem ukraińskim).

Nie mogliśmy oczywiście usłyszeć wszystkich wypowiedzi (były wygłaszane w sekcjach przez dwa pełne dni), ale z tych, które udało się wysłuchać, największe wrażenie zrobił na nas referat mgr Lilianny Światek z Uniwersytetu Łódzkiego: *Zbiórka książek we Lwowie dla bibliotek w Polsce w latach 1945–1946*. Okazuje się, że z inicjatywy Związku Patriotów Polskich (który reprezentował sprawy polskie w Związku Sowieckim w ostatnim okresie wojny) gromadzono prywatne zbiory w celu wywiezienia ich z ZSRR. Właściciele domowych bibliotek, profesorowie, kolekcjonerzy, zakłady naukowe, klasztory i inne instytucje oddawały dobrowolnie swoje zbiory i w ten sposób zebrano kilkaset tysięcy książek, które następnie wywieziono. Były kłopoty z ich ulokowaniem (w Krakowie odmówiono czasowego przechowania, nie mieli miejsca...). Referatu tego wysłuchaliśmy ze ściśniętym gardłem.

Aldona Duch

CZARTORYSCY

W Krakowie obchodzono 200-lecie Muzeum xx. Czartoryskich. Z tej okazji w listopadzie i grudniu '01 były tam czynne okolicznościowe wystawy: o dziejach Muzeum oraz o rodzinie Bourbonów Orleańskich, z którymi Czartoryscy byli spokrewnieni.

Ród Czartoryskich nie miał bezpośrednich związków z samym Lwowem, z czasem jednak związał się z Małopolską Wschodnią. Pochodzili z sąsiedniego Wołynia – pisali się *na Klewaniu*.

Mieszczanie trembowelscy zajmowali się niemal wyłącznie rolnictwem; rzemiosło nie było tu rozwinięte. Nieopodal miasta znajdowały się kamieniołomy, dostarczające znanego, czerwonego kamienia trembowelskiego, używanego na płyty chodnikowe.

Zabytki. Kościół i klasztor karmelitów, wybudowane w latach 1635–39. Kościół późnorenesansowy, trójnawowy, z prezbiterium zakończonym wielobocznie. Otoczone murem z basztami obronnymi. Obecnie w ruinie.

Kościół parafialny pw. śś. Piotra i Pawła, zbudowany w latach 1922–27, projektowany przez Adolfa Szyszko-Bohusza w stylu bazyliki wczesnochrześcijańskiej. Trzynawowy z kolumnami jońskimi i bogato rzeźbionym stropem, fasada frontowa dwuwieżowa. Po 1946 r. zamieniony na dom kultury, dzięki czemu zachowany w dobrym stanie: przy adaptacji rozebrano tylko wieże.

Cerkiew św. Mikołaja z XVI w., inkastelowana, przerobiona gruntownie ok. 1735 r., jednonawowa., nie istnieje. Klasztor bazylianów z XVI/XVII w., w ruinie.

Ruiny zamku, XVI–XVII w.

Stan obecny. Kościół parafialny zwrócono do kultu w 1993 r., następnie znów odebrano, dopuszczając wiernych jedynie do oddzielonego od wnętrza chóru. W wyniku interwencji nuncjusza papieskiego zgodzono się w niedziele i święta udostępniać nawy kościelne. Obecnie cały kościół jest w posiadaniu parafii.

Według spisu ludności z 1989 r. w Trembowli żyło ok. 170 Polaków.

ZALESZCZYKI

Położenie. Miasto powiatowe w woj. tarnopolskim. Leży przy linii kolejowej (Lwów–Stanisławów–) Czortków–Czerniowce, w odległości ok. 300 km na płd.wsch. od Lwowa. Usytuowane na lewym brzegu Dniestru, okalającego je z trzech stron. Przed II wojną liczyło ok. 6 tys. mieszkańców. Dzięki pięknemu położeniu i ciepłemu, suchemu klimatowi, były Zaleszczyki miejscowością klimatyczną i letniskową, nazywaną polskim Meranem. Słynęły także z sadów morelowych i brzoskwiniowych. Z zakładów przemysłowych czynne były elektrownia i garbarnia. Parafie obu obrządków znajdowały się na miejscu.

Historia. Wzmiankowane już w 1340 r. jako własność Lubomirskich. Osada położona nad Dniestrem, którym odbywał się spław zboża

Kiedyś byli rodem litewsko-ruskim, a ich herbem (jako potomków książąt litewskich) jest „Pogoń Litewska", która razem z Orłem Białym stanowiła godło Rzeczypospolitej. W XVII w. spolonizowali się całkowicie, w okresie przedrozbiorowym byli pierwszą w Polsce *Familią* i wywierali wielki wpływ na rządy państwem (król Stanisław Poniatowski był, jak pamiętamy, synem Czartoryskiej). Ich siedzibą były Puławy, gdzie x. Izabella z Flemingów założyła w „Świątyni Sybilli" swoją kolekcję – fundament 200-letniego dziś Muzeum.

Po Powstaniu Listopadowym (1831) Rosjanie skonfiskowali ich dobra w Królestwie, razem z Puławami. Zbiory udało się Czartoryskim ulokować w różnych miejscach, głównie koło Jarosławia, w Sieniawie, która stała się nową rodową ordynacją. Potem jednak – wobec niepewnej sytuacji politycznej – zbiory (w tym obrazy Leonarda da Vinci, Rafaela, Rembrandta) wywieziono do Paryża, gdzie Czartoryscy zakupili wspaniały pałac, Hotel Lambert – znany poza tym jako *główna kwatera* naszej Wielkiej Emigracji. W okresie „Komuny Paryskiej" x. Władysław przywiózł zbiory z powrotem na ziemie polskie i umieścił w spokojnym Krakowie, zakupując w tym celu kilka budynków. Do II wojny światowej Muzeum podlegało Ordynacji Sieniawskiej xx. Czartoryskich – w województwie lwowskim.

Siedzibą jednej z gałęzi rodu stało się na przełomie XIX/XX w. Żurawno w woj. stanisławowskim (odziedziczone po Skrzyńskich). Nieco wcześniej inny Czartoryski *wżenił się* w Jabłonów k. Rohatyna (Dzieduszyckich).

Wielki wkład w powstanie i działalność Instytutu Gospodarczego Kształcenia Kobiet w Snopkowie k. Lwowa wniosła x. Wanda Czartoryska, przeznaczając dlań swój pobliski folwark Bielosko (pisaliśmy o niej i o zbezczeszczeniu jej grobu na Łyczakowie w CL 3/99).

Z początkiem listopada odbyła się w Krakowie – ze wspomnianymi wystawami w tle – konferencja naukowa pt. *Czartoryscy – Polska – Europa. Historia i współczesność*. Wygłoszono prawie 30 referatów, głos zabierali przedstawiciele rodziny książęcej z kraju i zagranicy (m.in. Adam Karol Czartoryski-Bourbon z Hiszpanii, związany z tamtejszą rodziną królewską, założyciel obecnej Fundacji xx. Czartoryskich przy Muzeum Narodowym w Krakowie). Zakres tematyczny Konferencji dotyczył historii idei i geopolityki, dyplomacji i niepodległości oraz kultury i mecenatu artystycznego tego rodu.

Jedynym nieporozumieniem był udział w Konferencji niejakiego Daniela Beauvois z Francji (o którym już raz z niesmakiem pisaliśmy). Jego ideą było – wbrew wszystkim polskim prelegentom – zdezawuowanie ks. Adama Jerzego Czartoryskiego, wybitnego polityka, któremu w dużej mierze omawiana Konferencja była poświęcona (oczywiście można mieć inne zdanie, ale czy akurat natrętny obcokrajowiec jest nam do tego potrzebny?). Beauvois dostał nawet w Polsce doktorat h.c., załatwiony mu – jak podejrzewamy – przez *jedynie słuszne środowisko*, które szczęśliwie zeszło już z naszej sceny.

Elżbieta Mokrzyska

Kronika

◆ Przed 45 laty powstało na nowo, po latach stalinowskich i październikowym przełomie 1956 r., **Stowarzyszenie Artystyczne „Grupa Krakowska"** – formacja awangardy lat powojennych. Jego tradycje sięgały lat trzydziestych, gdy pierwszą Grupę Krakowską otworzyli ówcześni młodzi plastycy, z których najbardziej znaczące nazwiska – również w okresie powojennym – to Maria Jaremianka i Jonasz Stern. Jaremianka, tak jak i cała rodzina Jaremów (w tym Władysław, twórca niezapomnianego Teatru Lalki i Aktora „Groteska" w Krakowie) przybyła pod Wawel z Sambora. J. Stern urodził się w Kałuszu.

W powojennym gronie GK kilkoro najważniejszych twórców miało korzenie lwowskie, m.in. – poza wymienionymi: Tadeusz Brzozowski (jego życiorys drukujemy w tym numerze), Jerzy Kałucki, Marek Włodarski (z przedwojennej grupy „artes" we Lwowie).

Przypomnijmy, że powojenna Grupa Krakowska utworzyła słynną galerię „Krzysztofory", z niej też wyszedł niepowtarzalny teatr Tadeusza Kantora „Cricot 2".

◆ W drugiej połowie listopada '01 odbyły się w Warszawie doroczne, tygodniowe **Dni Lwowa**. Na program złożyły się: msza św. w kościele św. Krzyża, impreza muzyczno-poetycka, sympozjum naukowe pod przewodnictwem prof. M.M. Drozdowskiego i Ewy Siemaszko. Złożono wieńce na Grobie Nieznanego Żołnierza – Lwowskiego Orlęcia.

O warszawskich Dniach Lwowa dowiedzieliśmy się w Krakowie dzięki p. S. Dustanowskiemu, który otrzymał zaproszenie.

◆ W listopadzie/grudniu czynna była w Krakowie **wystawa obrazów Kazimierza Sichulskiego** (1879–1943), *wypożyczonych* ze Lwowskiej Galerii Sztuki. Złożyły się na nią dwa całkiem odmienne zespoły dzieł. Pierwszy to obrazy (olej, tempera, gwasz), wśród nich trzy tryptyki, forma przez tego malarza często stosowana (pokazaliśmy jeden z nich pt. *Wiosna* w CL 3/97). Przypomnijmy, że Sichulski wraz z Fryderykiem Pautschem i Władysławem Jarockim stanowili tzw. *Trójkę huculską* i wszyscy trzej jeździli na Huculszczyznę, by tam malować przyrodę, ludzi i folklor.

Drugi zespół – to rysunki (ołówek, węgiel), a w tym kilkadziesiąt karykatur osobistości lwowskich i krakowskich. Trzeba przypomnieć, że Sichulski, lwowianin, działał przez szereg lat w Krakowie jako profesor i rektor ASP.

Członkowie krakowskiego oddziału TMLiKPW zwiedzili grupowo wystawę.

◆ Od połowy listopada do połowy grudnia trwały w Warszawie **II Dni Kultury Kresów**. Imprezy odbywały się na Zamku Królewskim i w Domu Polonii. Organizatorami były: „Wspólnota Polska", Federacja Organizacji Kresowych, Zamek Królewski, Instytut Słowacki i TV – wszystkie z Warszawy.

Na program złożyło się siedem imprez, w tym: gawęda Barbary Wachowicz o wielkich Polakach z Kresów, w oprawie muzycznej, z młodzieżą licealną; koncert Konstantego Kulki oraz pianistki i skrzypaczki z Wołynia; przedstawienie PolskiegoTeatru z Wilna; koncert zespołu „Camerata Vistula"; koncert orkiestry kameralnej z Bratysławy (założonej przez Polaka); koncert Zespołu Muzyki Dawnej, poprzedzony prelekcją „Lwów i Wilno na tle historii kultury polskiej"; koncert zaolziańskich kolęd góralskich. No cóż, rewelacja.

◆ W grudniu w obecności Ojca Św. Jana Pawła II odegrano w Watykanie **utwór Wojciecha Kilara *Missa pro pace***. Koncert wykonały w Auli Jana Pawła II orkiestra i chór warszawskiej Filharmonii Narodowej pod dyrekcją K. Korda. Papież powiedział po polsku: *Majestatyczna prostota, piękno zakorzenione w chrześcijańskiej tradycji i brzmienie oddające wyrastającego zeń polskiego ducha sprawiają, że utwór ten dostarcza nie tylko estetycznych wrażeń, ale może wyzwalać głęboko religijne przeżycia*.

i drewna nad Morze Czarne, miała pewne znaczenie handlowe. Rozwój jej nastąpił jednak dopiero wówczas, gdy wraz z okolicznymi ziemiami przeszły w 1754 r. w posiadanie Stanisława Poniatowskiego, kasztelana krakowskiego. Zapewne z inicjatywy zarządcy dóbr Poniatowskich, majora Dettykera, sprowadzeni zostali do Zaleszczyk niemieccy tkacze dla uruchomienia wyrobu wełnianych kamlotów, sukna oraz płótna. Dla nowych osadników wybudowano zbór, a w 1759 r. utworzono parafię ewangelicko-augsburską. W 1766 r. król Stanisław August, kolejny właściciel Zaleszczyk, nadał im prawa miejskie, a następnie status miasta królewskiego, co wzmocniło ich rolę jako punktu tranzytowego w handlu ze Wschodem. Król ustanowił tu także jarmark roczny na św. Marka. Pewien cios rozwojowi miasta zadało spustoszenie go w 1769 r. przez zagon turecki. W 1784 r. erygowana została parafia rzym.kat. Po królu Zaleszczyki dostały się ks. Józefowi Poniatowskiemu Żywą pamięć o nim miejscowa tradycja przechowała do II wojny światowej.

W 1. ćwierci XIX w. Zaleszczyki zakupił Ignacy Brunicki, syn wzbogaconego na handlu końmi Izaaka Braun Braunsteina. Przez cały XIX wiek pozostawały Zaleszczyki w rękach Brunickich, którzy w 1829 r. otrzymali tytuł baronowski. W 1852 r. gościł u nich cesarz Franciszek II, który w tym czasie wizytował Galicję. Około r. 1854, w związku z wojną krymską, wybudowano w Zaleszczykach fortyfikacje, obecnie zupełnie zniszczone. Bruniccy byli dobrymi gospodarzami i pod ich ręką miasto przeżyło okres ponownego rozwoju. Powstała w nim gorzelnia, browar i cegielnia. Rozwinęło się sadownictwo, a duża część zebranych owoców przeznaczona była na eksport.

Wojciech Kilar urodził się i wychował we Lwowie (co media zaznaczyły). Mieszka w Katowicach.

◆ Krakus nad krakusy, Lucjan Rydel (którego nazwisko ostatnio w naszym piśmie często pada dzięki jego wnuczce, pani Barbarze Rydel-Hetnał, urodzonej w Chodorowie, a zamieszkałej dziś w Nysie) napisał przed prawie stu laty (1903) widowisko jasełkowe pt. *Nowe Betlejem Polskie*, na zamówienie... lwowskiego Stowarzyszenia Kółek Rolniczych. W czasie Bożego Narodzenia '01 przypomniała to widowisko grupa aktorów z krakowskiego kabaretu Loch Camelot, którego dyrektor – nieraz wymieniany w naszym piśmie lwowianin z Zimnej Wody – Kazimierz Madej zaprojektował kostiumy. Twórcy spektaklu zamierzają ten spektakl wystawiać corocznie – aż **do setnej rocznicy lwowskiej premiery.** Na pewno się wybierzemy.

fot. Krzysztof Karolczyk

Pani Barbara, córka Lucjana Rydla juniora (pierworodnego syna Poety – jego *curriculum vitae* drukowaliśmy w CL S/2000) bawiła w listopadzie '01 w Krakowie z okazji dorocznego obrzędu *Chochołów* obchodzonego corocznie przed dworkiem Rydlów w Bronowicach, w rocznicę w e s e l a Rydla i Mikołajczykównej. Byliśmy tam razem z panią Barbarą i uwieczniliśmy na pamiątkę.

Książki czasopisma

Nowe książki

📖 Która to już książka o Madonnach Kresowych? Szósta? Doktor **Tadeusz Kukiz** przedstawia nam tym razem drugą serię ***Obrazów sakralnych z Kresów w diecezjach Polski – poza Śląskiem*** (wyd. Stowarzyszenie „Wspólnota Polska", Warszawa 2001). Przypomnijmy poprzednie:

Madonny Kresowe i inne obrazy sakralne z Kresów w diecezji gliwickiej (1997)
Madonny Kresowe i inne obrazy sakralne w Kresów w diecezji opolskiej (1998)
Wołyńskie Madonny i inne obrazy sakralne z diecezji łuckiej (1998)
Madonny Kresowe i inne obrazy sakralne z Kresów w archidiecezji wrocławskiej i diecezji legnickiej (1999)
Madonny Kresowe i inne obrazy sakralne z Kresów w diecezjach Polski (poza Śląskiem). Część I (2000)
Madonny Kresowe i inne obrazy sakralne z Kresów w diecezjach Polski (poza Śląskiem). Część II (2001)

We wszystkich dotychczasowych omówieniach wyrażaliśmy nasz podziw dla historycznej erudycji Doktora (lekarza!) i ogromu informacji, jakie zebrał o opisywanych dziełach sztuki i kultu oraz świątyniach i miejscowościach, z których się wywodzą. Powstał więc – równoległy do naszego – swoisty *słownik geograficzno-historyczny* miejscowości Małopolski Wschodniej i Wołynia, choć ilościowo ograniczony (bo dotyczący tylko wybranych miejsc), lecz w przedmiotowej dziedzinie bardziej detaliczny. Wypada przypomnieć, że dr Kukiz zasila także nasz słownik!

W omawianym tomiku zamieszczono informacje o 33 obiektach (lub zespołach obiektów) malarstwa i rzeźby. Z bardziej znanych znajdziemy tam posąg MB Jazłowieckiej (dziś w Szymanowie), obrazy MB Czortkowskiej i Żółkiewskiej (oba u Do-

minikanów w Warszawie, na Nowym Mieście i Służewie), obraz MB Bołszowieckiej (w Gdańsku), obraz MB Ormiańskiej ze Stanisławowa (też w Gdańsku), trzy obrazy z kościołów lwowskich (w Gdańsku, Częstochowie i Kaliszu!). Dowiadujemy się dalej o obrazach z Buczacza, Drohobycza, Kałusza, Tarnopola, Trembowli, Waręża i kilku innych miasteczek i wsi Małopolski Wschodniej, o kilku obrazach z Wołynia, w tym słynnej MB Latyczowskiej z Łucka. Znalazły się także dwa obrazy z cerkwi grekokatolickich.

Jesteśmy przekonani, że na tych tomach się nie skończy i że otrzymamy niebawem nową porcję wiadomości o tych *ekspatriowanych* Madonnach. Wszystkie książki Tadeusza Kukiza świadczą o niezwykłym bogactwie kultury religijnej na Ziemiach Wschodnich, rozbitym przez wandali XX wieku Dobrze przynajmniej, że zyskujemy taki dokument. Dziękujemy, Panie Doktorze!

📖 Książka o znakomitym lwowskim historyku tylko w części dotyczy jego korzeni oraz okresu życia i twórczości we Lwowie. ***Henryk Wereszycki. Historia w życiu historyka*** to zbiór materiałów z sesji naukowej jemu poświęconej (1998, pisaliśmy o niej w CL 1/99), zredagowany przez **Elżbietę Orman** (Towarzystwo Wydawnicze „Historia Jagellonica", Kraków 2001). Tytuł pierwszej części tomu brzmi: *We Lwowie – u źródeł biografii*, dalsze dotyczą wrocławskiego i krakowskiego okresu po II wojnie.

H. Wereszycki (1898–1990) urodził się we Lwowie. Walczył w Legionach, a w latach 1918–20 przeciw Ukraińcom i bolszewikom. W 1939 r. dostał się do oflagu. Po II wojnie pracował na Uniwersytecie Wrocławskim, potem na UJ, zmarł w Krakowie. Władze komunistyczne były mu niechętne, nigdy więc nie został profesorem zwyczajnym. Napisał wiele ważnych książek, głównie związanych z Austrią i zaborem austriackim, w tym *Pod berłem Habsburgów*. Z pracy tej często korzystamy w naszej pracy redakcyjnej, gdy chodzi o Lwów XIX-wieczny.

📖 Franciszek Bujak, wielki autorytet w dziedzinie historii gospodarczej oraz metodologii historii, profesor Uniwersytetu Jana Kazimierza, nie był lwowianinem z urodzenia, ale w tym mieście spędził swoje najlepsze i najbardziej naukowo owocne lata.

Intensywny był nadal handel zbożem i drewnem na Dniestrze, który jako nieopłacalny ustał dopiero po zbudowaniu kolei żelaznej. W 1902 r. Zaleszczyki przeszły na własność Henryka Wattmana, po którym odziedziczyła je jego córka, a wnuczka Jakuba Brunickiego, zamężna za Augustem Turnauem. Byli oni właścicielami Zaleszczyk do II wojny światowej. We wrześniu 1939 r. przez Zaleszczyki odbyła się ewakuacja części władz państwowych II RP i korpusu dyplomatycznego.

Zabytki. Kościół parafialny pw. św. Stanisława bpa, fundowany w r. 1784, ukończony w 1824, murowany, z płaskim sklepieniem, pokrytym freskami, przedstawiającymi sceny z życia św. Stanisława. Przez władze sowieckie zamieniony został na magazyn soli i nawozów sztucznych, przy czym rozebrano wieżę kościelną.

Budynek ratusza, piętrowy, z czterema wieżyczkami na narożnikach, zbudowany w 2. poł. XVIII w. – według miejscowej tradycji jako zameczek myśliwski ks. Józefa Poniatowskiego. Zamieniony na ratusz, pełnił zarazem rolę bazaru z kramami. Wysadzony w powietrze w 1967 r.

Dworki miejskie parterowe i piętrowe z charakterystycznymi ganeczkami. Pałac klasycystyczny z 1. poł. XIX w., zbudowany przez Leona Antoniego Brunickiego, zapewne przy wykorzystaniu murów siedziby poprzednich właścicieli – został zburzony. Pałac otoczony był niezbyt rozległym parkiem krajobrazowym, w którym znajdował się nieistniejący również teatr letni ks. Józefa Poniatowskiego.

Czasy obecne. Kościół zwrócony do kultu ze ścianami przeżartymi solą do wys. 5 metrów, zdewastowany i ograbiony. Rekonsekrowany w 1991 r., częściowo odrestaurowany (nowy dach, nowa posadzka). Zawilgocone mury wciąż nie nadają się do położenia nowych tynków. Przy wyposażaniu kościoła pomaga Koło Zaleszczykowian w Krakowie. Do kościoła dojeżdżają księża michaelici z Borszczowa.

Według spisu ludności z 1989 r. żyło tu 51 Polaków, a do kościoła przychodziło ok. 80 osób, w tym 30 Polaków.

W Zaleszczykach urodzili się: Leon Biliński (1846–1923), profesor prawa i rektor UJK we Lwowie, poseł na sejm i minister skarbu Galicji oraz RP w rządzie I. Paderewskiego; Henryk Gąsiorowski (1878–1947), wybitny geograf i krajoznawca; Mikołaj Hoszowski (1778–1828), profesor Uniwersytetu w Krakowie, senator Rzeczypospolitej Krakowskiej (ur. w Żeżawie k. Zaleszczyk).

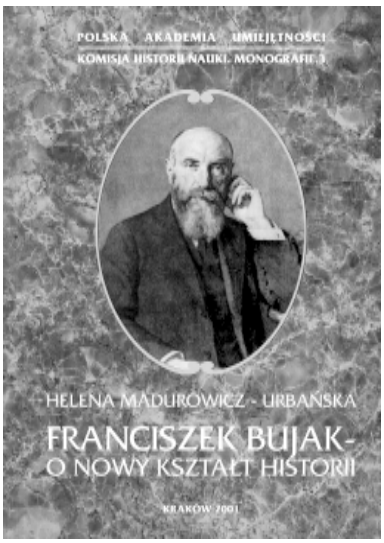

Urodził się w 1875 r. pod Brzeskiem, w Krakowie spędził pierwsze 15 lat swojej pracy zawodowej i naukowej, a we Lwowie osiadł w r. 1920 jako profesor i kierownik Zakładu Historii Społeczno-Gospodarczej, później został kierownikiem takiegoż Instytutu. W 1945 r. znalazł się znów w Krakowie, pracował jako profesor na wydziale rolniczym UJ. Zmarł w Karkowie w 1953 r.

Książkę pt. ***Franciszek Bujak. O nowy kształt historii*** napisała jego uczennica, biograf i kontynuatorka tematyki na UJ, prof. **Helena Madurowicz-Urbańska** (wyd. Polska Akademia Umiejętności, Kraków 2001). O Pani Profesor pisaliśmy już w CL kilkakrotnie, ponieważ w Jej naukowym kręgu powstaje niezwykle ważna seria opracowań historii społeczno-gospodarczej Lwowa (CL 2/99). Autorka omawia kilka podstawowych dziedzin zainteresowań i osiągnięć prof. Bujaka: nauki społeczne i historyczne, historia gospodarcza oraz ogólna metodologia historii.

📖 Wydawnictwo Uniwersytetu Rzeszowskiego wzbogaciło się (i nas) o p i ę t n a-s t y tom serii *Galicja i jej dziedzictwo*. Tytuł pracy zbiorowej pod redakcją **Jadwigi Hoff** brzmi: ***Działalność wyzwoleńcza*** (Rzeszów 2001). Tak jak i większość poprzednich, tom ten satysfakcjonuje nas, ponieważ przeważająca liczba artykułów (sześć z siedmiu) dotyczy w całości lub w większej części Lwowa i Małopolski Wschodniej.

Za najważniejszy, bo poruszający temat mało dotąd przez nas znany, trzeba uznać artykuł Alojzego Zieleckiego *Zaranie polskiego ruchu młodzieżowego w Galicji*. Pierwsze organizacje młodzieży były urzeczywistnieniem ideologii pozytywistycznej, która w miarę czasu przeradzała się w niepodległościową. Nasi Czytelnicy zapewne domyślają się, że owo z*aranie* ma związek ze Lwowem, i mają rację.

Pierwsza – to organizacja założona w 1848 r. przez Fr. Smolkę, generałów J. Bema i J. Dwernickiego oraz parę innych osób pod nazwą *Stowarzyszenie Zjednoczonej Czeladzi Wszystkich Rzemiosł.* W 1858 r. powstało *Stowarzyszenie Czeladzi Katolickiej „Skała",* a w 1868 r. *Stowarzyszenie Młodzieży Czeladniczej ku Nauce i Rozrywce „Gwiazda"* – oba też we Lwowie. Oddziały tych organizacji zakładano w następnych latach w wielu miastach i miasteczkach, a do pierwszych należały Tarnów, Stanisławów i Cieszyn.

Potem powstawały dalsze stowarzyszenia tej kategorii młodzieży, a z czasem dołączyły do nich organizacje uczniowskie, pierwotnie jako tajne kółka o charakterze samokształceniowym – najpierw we Lwowie. Pierwsza organizacja, jeszcze nieoficjalna to w 1880 r. powołana *Rada Główna*, nazwana później *„Orzeł Biały".* Ośrodki tej organizacji tworzyły się następnie w w wielu miastach Galicji, w tym w Krakowie, Przemyślu, Samborze, Drohobyczu, Stanisławowie, Kołomyi, Czortkowie, Złoczowie, Tarnopolu oraz oczywiście w zachodniej i środkowej Galicji. Nawiązano współpracę z powstałym we Lwowie w 1867 r. Towarzystwem Gimnastycznym „Sokół" (jego oblicze i historia są już naszym Czytelnikom dobrze znane).

Przyszedł czas na utworzenie ponadzaborowej organizacji polskiej młodzieży studiującej. Zaczęto od Warszawy i Lublina, a także Ukrainy kijowskiej, gdzie było wiele polskiej młodzieży. W 1887 r. zwołano zjazd założycielski (zwany I Zjazdem „Zetu"), który odbył się – tu nie ma pewności – we Lwowie lub Krakowie. Pierwsze struktury „Zetu" powstały we Lwowie, Dublanach i Krakowie. Lwowski „Zet" zaczął wydawać pismo „Zarzewie" – środowisko z nim związane odegrało w Polsce w następnych latach wielką rolę. W 1908 r. we Lwowie zro-

działa się idea powołania przez „Zet" organizacji paramilitarnej *Drużyny Bartoszowe* (inicjatorem był student Politechniki Lwowskiej Wawrzyniec Dayczak – patrz CL S/98). Do 1914 r. utworzono w Galicji – szczególnie wschodniej – 286 drużyn z 10 tysiącami członków.

Potem powstały następne organizacje, a między innymi lwowska *Bratnia Pomoc*, drużyny skautowe (też we Lwowie). I tak dalej, trudno jednak streszczać cały ciekawy artykuł, cytować liczne nazwy organizacji i ich czasopism, przytaczać dziesiątki nazwisk – w dużej mierze związanych ze Lwowem i Galicją / Małopolską Wschodnią.

Z innych ważnych artykułów w tomie XV: M. Stolarczyka *Galicyjska Gwardia Narodowa w 1848 r.* Cz. II. (część I była w tomie XII, a donosiliśmy o tym w CL 2/2000); Z. Frasa *Od współpracy do rywalizacji – działalność polityczna Franciszka Smolki i Floriana Ziemiałkowskiego w okresie walki o autonomię Galicji.*

📖 W pierwszej połowie XIX w. było trzech polskich wieszczów. Wiek później mieliśmy trzech pisarzy, którzy wieszczami nie byli – to już inna epoka – lecz równie jak tamci – a może jeszcze silniej, bo uniwersalniej – wpisali się w nurt wielkiej literatury współczesnego sobie świata: Stanisław Ignacy Witkiewicz, Witold Gombrowicz i Bruno Schulz. Czy w nowym wieku powtórzy się taka trójca?

Ostatni z wymienionych jest bohaterem książki **Wiesława Budzyńskiego** (autora książek m.in. o K.K. Baczyńskim) pt. ***Schulz pod kluczem*** (Grupa Wydawnicza Bertelsmann Media, Warszawa 2001). Książka jest oryginalnie napisana. Jest to styl swobodnej narracji (nam przypomina sposób pisania Mariana Brandysa) z wieloma dygresjami, odwołaniami do badaczy i do świadków, umiejętnym wciągnięciu czytelnika w atmosferę miejsca i czasu, w atmosferę środowisk, z którymi Schulz miał kontakt: Drohobycza (na co dzień) i polskiej literatury (rzadziej). Książkę Budzyńskiego czyta się więc łatwo, z zaangażowaniem i – sympatią. Trzeba w tym miejscu nadmienić, że Schulz – wyznania mojżeszowego – był absolutnym Polakiem. Ostatnio więc dokonana brutalna kradzież malowideł Schulza z jego domu w Drohobyczu nie ma najmniejszych podstaw izraelsko-narodowych. Spuścizna po Schulzu należy do dziedzictwa kultury polskiej, żadnej innej. W tym, być może, tkwi tajemnica, iż obecne władze Drohobycza przymknęły oczy na zabranie fresków właśnie do Izraela.

📖 Ukazały się ostatnio dwie książki poświęcone w całości wspaniałemu grodowi, który wprawdzie nie leży w obszarze naszego głównego zainteresowania, ale tuż-tuż za Zbruczem i z naszymi dziejami związany był nierozerwalnie: jest nim Kamieniec Podolski.

Pierwsza z nich to ***Kamieniec Podolski. Studia z dziejów miasta i regionu.*** *Tom I*. Jest to praca zbiorowa, a jej redaktorem prof. **Feliks Kiryk** (Wydawnictwo Naukowe Akademii Pedagogicznej, Kraków 2000). Książka zawiera 19 opracowań autorskich poświęconych różnym tematom z dziejów tego Grodu Rzeczypospolitej i kultury polskiej tam tworzonej od średniowiecza po wiek XX.

Prace pochodzą z dwóch kręgów uczelnianych: Akademii Pedagogicznej oraz Politechniki Krakowskiej. Jest wspaniałą rzeczą, że do tradycyjnego już zainteresowania pracowników naukowych AP (z nazwisk trzeba wymienić przede wszystkim prof. F. Kiryka oraz dra Henryka Kotarskiego) dopisał się Wydział Architektury PK, w szczególności jego Instytut Historii Architektury i Konserwacji Zabytków. Współpraca owocuje corocznie wyprawami naukowców i studentów nad Smotrycz, a te z kolei przynoszą znakomite badania historyczne i inwentaryzacyjne.

Warto dodać, że Kamieniec Podolski jest miejscem absolutnie niezwykłym, tak z racji niepowtarzalnego położenia i historycznej zabudowy (straszliwie przerzedzonej w czasie II wojny), jak i ze względu na niebanalną historię. W tomie poruszono wiele wątków historycznych, społecznych, gospodarczych, architektonicznych. Pisze się o historii Podola

i Kościele katolickim tamże, o lokacji miasta, o wpływach zachodnioeuropejskich w zabudowie miasta, o fortyfikacjach i słynnym moście między miastem a zamkiem, o życiu w twierdzy kamienieckiej, o panowaniu tureckim i o jeszcze innych sprawach.

Autorem drugiej książki jest **Jan Przybył**, a tytuł brzmi: ***Kamieniec Podolski albo Trylogia na nowo przeżywana*** (Wydawnictwo „Nortom", Wrocław 1998). Autor konfrontuje topografię i obiekty tego grodu z zapisami Sienkiewicza. W przedmowie pisze tak:

Niniejsza książeczka nie jest ani pracą naukową, ani przewodnikiem turystycznym. Nie zawiera też dokładnego opisu budowli kamienieckich. [...]

W tym miejscu warto zaznaczyć, że pomimo wyjątkowo burzliwej historii miasta żadne oblężenie nie spowodowało takiej jego dewastacji, jak 70 lat rządów czerwonej hołoty. Ciekawym przedsięwzięciem byłoby wydanie jednocześnie książki Prusiewicza sprzed 80 lat i książki będącej sprawozdaniem z tego, co pozostało (jeśli w ogóle pozostało) po opisywanych przez Prusiewicza budowlach. [...] *bo dopiero taki eksperyment pozwoli nam (choć w jakże bolesny sposób!) przekonać się, co to znaczy komunizm.*

[...] *moim zasadniczym celem było dopomóc miłośnikowi Trylogii w przeprowadzeniu swoistej wizji lokalnej na miejscu. Dlatego też najwięcej uwagi poświęciłem opisom fortyfikacji oraz sprawie bezpośrednio związanej z lekturą „Pana Wołodyjowskiego" – oblężeniu Kamieńca przez armię sułtana Mahometa IV w dniach 12–26 sierpnia 1672 roku. Temu wszystkiemu mają także służyć zamieszczone w książce mapka oraz w miarę dokładne opisy tras wędrówki.* [...]

I my zachęcamy do odwiedzenia tego niezwykłego Grodu Rzeczypospolitej!

📖 Wartościową pozycję krajoznawczą przygotował **Ludwik Wawryszyn**, a wydała Opolska Oficyna Wydawnicza (Opole 2000): ***Województwo tarnopolskie i jego zabytki do 1939 roku***. Jest to przedruk artykułów, jakie ukazywały się w kilku numerach czasopisma „Wiadomości turystyczne województwa tarnopolskiego" w 1932 r. – odnalezionych w bardzo złym stanie i z trudem odczytanych.

Na książkę składają się dwie części: pierwsza to omówienie ogólne województwa, jego geografii i historycznej przeszłości oraz kultury ludowej, druga to opis kolejno siedemnastu powiatów. Dołączono mapkę zabytków woj. tarnopolskiego.

Książkę można zamówić pod adresem: Ludwik Wawryszyn, ul. Miła 10, 45-825 Opole.

📖 ***Koń Pana Boga*** to literacko ujęte wspomnienia **Wihelma Dichtera** z jego chłopięcych czasów, spędzonych pod koniec 20-lecia międzywojennego i w czasie wojny w Borysławiu (na Wolance), aż do ekspatriacji, a potem w różnych miejscach PRL (w 1968 r. wyemigrował do USA). Dichter pochodzi ze zasymilowanej rodziny żydowskiej, czuje się Polakiem, choć nie wyizolowany ze swego środowiska. Ukończył Politechnikę Warszawską, pracuje w Ameryce w firmie komputerowej, a wspomniana książka jest jego pisarskim debiutem, niezwykle – jak stwierdzają krytycy – udanym. Jest to tzw. *literatura faktu*, która znakomicie oddaje przeżycia chłopca i jego rodziny. Posłowie napisał Stanisław Barańczak.

📖 Wielkim a miłym zaskoczeniem był nadesłany nam przez pana Janusza Wasylkowskiego nowy tomik wierszy, wydany przez Instytut Lwowski (Warszawa 2001): ***Widzenie świata***. Jego autorka to lwowianka osiadła na Górnym Śląsku, **Maria Bielecka-Kasprowicz**, z zawodu aktorka i – jak czytamy na odwrocie książki – córka aktorów lwowskiego Teatru Wielkiego oraz wnuczka poety i dramatopisarza, Franciszka Kuczkowskiego.

Poezja pani Marii, warsztatowo profesjonalna, to – wbrew sugestii wypływającej z tytułu – nie dosłowny ogląd świata, ale raczej jego *przeżywanie*, widzenie sercem, wspomagane doświadczeniem i wyobraźnią. Stąd właśnie wiersze odnoszące się do widzianego *oczami duszy*, a opuszczonego przed ponad pół wiekiem Lwowa:

Do tego miasta
nie ma dróg
do tego miasta
nie ma bram
zamknięte rygle czasu
zostały tam
jak w kuli szkła
świt i poranek
pełnia dnia

a tutaj
tu odbicie z szyby
tu zmierzch
tu ja
na niby

albo wiersz *Matko Boska*, który zamieścimy w kolumnie poetyckiej następnego numeru. Jest jeszcze w tomiku o Neptunie na Rynku, o Stryjskim parku i o wielkiej zmianie, jaką zgotowało autorce opuszczenie s w o j e g o d o m u. W sumie *Lwów* to tylko część doświadczeń poetyckich w życiu poetki. Pięknych wierszy jest w tym tomiku prawie sto!

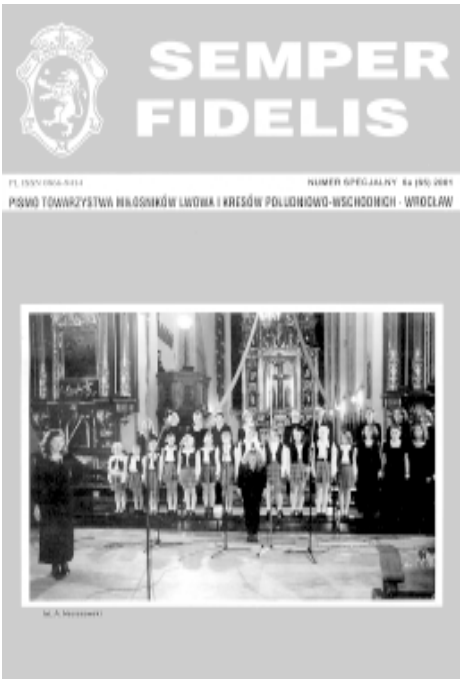

📖 W księgarni znaleźliśmy książkę (niestety nie nabywając) **Tadeusza Dubickiego i Krzysztofa Sprucha** pt. ***Przedmoście rumuńskie – wrzesień 1939*** (wyd. Wyższa Szkoła Pedagogiczna, Częstochowa 2000). Praca omawia przygotowania polskiego dowództwa do obrony przed Niemcami południowo-wschodniego skrawka kraju, dążąc do symbolicznego niejako zachowania ciągłości państwa na swoim terytorium. Plany te pokrzyżowała agresja sowiecka 17 września.

Treść tej książki koresponduje z artykułem dra J. Juzwy w tym numerze.

📖 Wielką przyjemność sprawili nam pospołu dr Jerzy Masior i Redakcja „Semper Fidelis", wydając w formie numeru specjalnego SF (6a/01) ***Nowe piosenki lwowskie*** (Nowy Sącz – Wrocław 2001). Piosenki swoje i nie swoje zebrał oczywiście **Jerzy Masior**, niestrudzony autor tekstów (a nawet tu i ówdzie melodii), organizator zespołów artystycznych, propagator lwowskiego folkloru. Ten zbiór trzeba mieć!

W grubym zeszycie (o ponad 130 stronach, format i szata graficzna jak SF) znalazły się 72 piosenki, w większości autorstwa J. Masiora, ale także M. Hemara, W. Budzyńskiego, K. Wierzyńskiego, S.R. Grońskiego, Ref-Rena (F. Konarskiego), B. Billa, K. Wesołowskiego, J. Sibigi, I. Iwanowa, H. Kotarskiego i kilku niewiadomych piór. Muzyka: w przytłaczającej liczbie Aleksandra Porzucka – Masiorowego partnera z Nowego Sącza, i paru innych, w tym także słynnego Seweryna Krajewskiego, a nawet warszawiaka Staśka Wielanka. Znalazła się tam też piosenka nieznanych autorów, którą zapamiętała ze Lwowa p. Irena Suchanek, a którą wydrukowaliśmy kiedyś w CL.

Książki o Harcerstwie

📖 W CL 2/99, w rubryce *Kultura–Nauka* informowaliśmy o serii prac historycznych pt. *Lwów nowoczesny. Obraz historyczno-statystyczny*, opracowanych na Uniwersytecie Jagiellońskim pod kierownictwem naukowym prof. Heleny Madurowicz-Urbańskiej oraz doc. (dziś już profesora) Krzysztofa Zamorskiego. Obecnie dowiadujemy się, że jest druga seria, która może nas zainteresować, redagowana przez Panią Profesor pt. *Informatory statystyczne do dziejów społecz-*

no-gospodarczych Galicji. Wcześniej ukazało się już trzynaście tomów, a ostatnio pojawił się tom 14: ***Skauting polski w Galicji w latach 1911–1918***, opracowany przez **Andrzeja Pankowicza** i **Janusza Wojtycza** (wyd. Towarzystwo Sympatyków Historii, Kraków 2000).

Książka zawiera kilkadziesiąt tabel ilustrujących różne aspekty działalności harcerstwa sprzed i z czasu I wojny światowej. Ciekawe jest przede wszystkim zestawienie ilościowe: męskich drużyn było 141, żeńskich 58, razem 199; w tym w Galicji wschodniej (licząc do obecnej granicy, bez Przemyśla, Sanoka i innych, związanych dawniej ze Lwowem) było ich odpowiednio: 59 i 26, w Galicji środkowej (w przybliżeniu dzisiejsze województwo podkarpackie): 31 i 12, zaś w Galicji zachodniej (dzisiejsze wojew. małopolskie): 51 i 20.

Dodajmy, że w samym Lwowie było 19 drużyn, w Tarnopolu 6, w Kołomyi 5, w Samborze 4, w Drohobyczu, Jaworowie, Stanisławowie i Złoczowie po 3; w Borysławiu, Brodach, Brzeżanach, Buczaczu, Czortkowie, Rawie R., Sokalu, Stryju, Śniatynie, Trembowli, Zaleszczykach i Żółkwi po dwie; zaś po jednej w Borszczowie, Bóbrce, Chyrowie, Dobromilu, Gródku Jag., Husiatynie, Kałuszu, Kamionce Str., Monasterzyskach, Niżankowicach, Putiatyczach, Skałacie, Tłumaczu, Turce i Zbarażu.

Przypomnijmy na koniec, że polski skauting powstał we Lwowie w r. 1911 i stąd rozszedł się po całym kraju. O twórcach naszego harcerstwa traktuje inna książka, o której niżej.

📖 **Barbara Wachowicz**, znakomita autorka wielu biografii wybitnych Polaków, tworzy teraz cykl zatytułowany: *Wierna rzeka Harcerstwa*. Jedną z książek tego cyklu jest ***Druhno Oleńko! Druhu Andrzeju!*** (Oficyna Wydawnicza „Rytm", Warszawa 2000), poświęcona twórcom polskiego skautingu, Andrzejowi i Oldze z Drahonowskich Małkowskim.

Z urodzenia nie byli lwowianami – on (1888––1919) pochodził z rodziny ziemiańskiej spod Kutna, ona (1888–1979) urodziła się Krzeszowicach (ojciec był wtedy administratorem dóbr Potockich), ale jej dalsze młodzieńcze lata to Kamionka Strumiłowa i Lwów. Spotkali się we Lwowie jako *akademicy* – on studiował na Politechnice (od 1908), ona najpierw biologię, potem pianistykę w konserwatorium. Oboje byli członkami „Eleusis" – organizacji, która wychowywała w duchu potriotyczno-niepodległościowym, abstynenckim, etyki, godności, siły i wiedzy. Małkowski należał również do „Zetu" i „Zarzewia", został wreszcie instruktorem „Sokoła".

W lipcu 1910 r. odbył się w Kosowie na Huculszczyźnie trójzaborowy zlot „Eleusis". Kosów został wybrany ze względu na działający tam słynny zakład leczniczy dra Apolinarego Tarnawskiego, którego idee były zbieżne z ideologią „Eleusis". Zjazd kosowski położył podwaliny pod Związek Harcerstwa Polskiego.

Małkowski zapoznał się i przełożył dzieło Roberta Baden-Powella, twórcy skautingu angielskiego (wydanym w 1908 r.) Opracował Prawo Harcerskie i przeprowadził szkolenie instruktorów. 28 lutego 1911 władze „Sokoła-Macierzy" zatwierdziły uchwałę o wprowadzeniu drużyn skautowych do „Sokoła". 21 maja powołano 5-osobową Naczelną Komendę Skautową, do której weszli oboje: Małkowski i Drahonowska (pobrali się w 1913 r.). Pierwszy w historii obóz harcerski odbył się w lipcu 1911 r. w Skolem.

Dalsze lata krótkiego życia Andrzeja Małkowskiego były wypełnione działalnością dla niepodległości Polski. Niestety znalazł w niej tragiczną śmierć: wysłany przez gen. Hallera z Paryża do Odessy z rozkazami dla gen. Żeligowskiego, padł ofiarą katastrofy statku w cieśninie Messyńskiej 15 stycznia 1919 r. Olga przeżyła go o lat sześćdziesiąt. Zmarła w swoim domu w Zakopanem.

W książce o Małkowskich i harcerstwie pisze autorka także pięknie o Lwowie i lwowskich działaczach i harcerzach – poświęca im cztery z 21 rozdziałów, a piąty – braciom Andrzeja Małkowskiego: Kazimierzowi i Mariuszowi, którzy przeszli szlak II Brygady Legionów. Padają nazwy Nadwórnej, Rafajłowej, Zielonej, Pasiecznej, Mołotkowa...

W niniejszym numerze zamieszczamy również rozmowę J.M. Palucha z Barbarą Wachowicz o tej samej książce. Jest także mowa – w innych kontekstach – o Skolem.

Jest co czytać (27)

Druga gazeta we Lwowie

Czytelnicy zapewne wiedzą o rozdźwięku, jaki w ostatnich latach powstał na linii Emil Legowicz – prezes Towarzystwa Kultury Polskiej we Lwowie *contra* Bożena Rafalska, wieloletnia redaktorka „Gazety Lwowskiej". Konflikt zakończył się usunięciem Rafalskiej ze stanowiska oraz wyznaczeniem na jej miejsce Ireny Masalskiej, dotąd członkini zespołu redakcyjnego. W konse-

kwencji Fundacja „Pomoc Polakom na Wschodzie", która sponsorowała GL, cofnęła pomoc, jednak tygodnik ten nadal działa, choć nie wiemy, na jakiej podstawie finansowej (bo żadne pismo samo się nie utrzyma nigdzie). Nie chcielibyśmy, żeby to pismo upadło! Ale o tym niżej.

Natomiast od marca ub. roku ukazuje się we Lwowie nowe czasopismo polskie – miesięcznik społeczno-kulturalny „Lwowskie Spotkania", finansowany przez Fundację PPnW. Mamy już szósty numer tego pisma (w tym podwójny numer 4–5, omawiający wizytę Papieża we Lwowie). Miesięcznik jest dużo obszerniejszy niż GL (20–32 stron, przy tym samym formacie). W skład zespołu redakcyjnego poza *naczelną* B. Rafalską weszli Halina Czuczman (z-ca red. nacz. – jej artykuł o budowie kościoła na Zboiskach drukowaliśmy w CL) oraz Sergiusz Krochmal-Szachwerdow. Współpracę zadeklarowało szereg osób zarówno ze Lwowa i Stryja, jak i z RP, Wilna i Szwecji. Znajdujemy więc dobrze nam znane nazwiska T. Kulikowicz-Dutkiewicz, A. Otko, U. i M. Olbromskich (z Przemyśla).

„Lwowskie Spotkania" mają charakter społeczno-kulturalny. Spotykamy tam podobny zestaw tekstów, jaki występował (i nadal występuje) w GL, jednak bez części typowo gazetowej – informacyjnej. Mamy więc artykuły o treści historycznej z różnych epok, biografie i rozmowy z różnymi ludźmi i na różne tematy. Porusza się tematykę wschodniomałopolską, polską (w rozumieniu dzisiejszej RP), ukraińską, polonijno-ukraińską i polsko-ukraińską, a także światową. Omawia się zjawiska artystyczne, zabytki, muzea, lwowskie ulice, przeprowadza sę wywiady z twórcami. Jest trochę prozy i poezja, wszystko ilustrowane fotografiami nienajgorszej (od strony technicznej) jakości.

Czy jest coś w LS, co nam się nie podoba? Oczywiście: przerost ozdobników. Każda strona ujęta jest w secesyjną ramkę z dość agresywnym nagłówkiem. To samo, a nawet jeszcze bardziej, dotyczy strony tytułowej: nagłówek z dość nieudolnie narysowaną sylwetą Lwowa. Warto by to trochę uspokoić. Mamy też zastrzeżenia do formatu: dla tego typu czasopisma pasowałyby mniejsze wymiary, przy odpowiednio większej liczbie stron. Ale na to, zdaje się nie ma rady, bo chyba drożej kosztuje. A gdyby zaoszczędzić na ozdobnikach?...

Przy okazji warto poruszyć inny ważny problem. Oba czasopisma lwowskie adresowane są do inteligencji, czy inaczej – do osób o zainteresowaniach i ambicjach intelektualnych. Co jednak otrzymują ludzie, Polacy, dla których tematyka historyczno-kulturalno-artystyczna nie jest pierwszą potrzebą, potrzebowaliby natomiast porady w dziedzinach swoich zawodów, pracy. Mamy tu na myśli przede wszystkim liczną zapewne grupę ludzi, głównie na prowincji (choć nie tylko), którzy podjęli samodzielną pracę w rolnictwie, hodowli, ogrodnictwie, rzemiosłach. Pół wieku oderwania od problematyki gospodarczej (zajmowali się nią wszak dyrektorzy kołchozów i sowchozów typu Łukaszenki) stworzyło lukę, której nikt dotąd – z naszej przynajmniej strony – nie kwapi się wypełnić. Potrzebne, wręcz niezbędne jest stałe poradnictwo dla rzeszy ludzi, którzy chcą pracować na własny rachunek. Oczywiście, mogą korzystać z poradnictwa w innych językach, ale czy organizacje *polskie* nie powinny się nad tym zastanowić?

W tej sprawie apelujemy do szlachetnego sponsora – Fundacji PPnW (może by i „Wspólnota Polska" pomogła?). Jedno z czasopism powinno podjąć się tego tematu, pozyskując oczywiście odpowiednich współpracowników-fachowców (i płacąc im za to, oczywiście). Profesjonaliści, rozeznani w warunkach rolniczo-ekonomicznych, glebowo-klimatycznych i jakichś tam jeszcze, tworzyliby dodatek do jednego z czasopism (w każdym numerze inny?). Korzyść uboczna: większa poczytność tego pisma i – język polski, a w sumie podparcie polskości i warunków życia dla Polaków. Nie mamy wątpliwości, że Fundacja PPnW i Stowarzyszenie WP powinny być zainteresowane w takim przedsięwzięciu. Może za to pewne ograniczenie tematów, które tak czy inaczej są dublowane? Pamiętajmy, że mamy jeszcze „Radość Wiary" (omawialiśmy w CL 2/99). Warto by wypracować jakąś koncepcję, bo w tej dziedzinie ani wzajemne konkurowanie, ani komercyjne podejście nie byłyby stosowne.

Andrzej Chlipalski

Wertując wydawnictwa

➡ W „Dzienniku Polskim" 258/01 znalazł się bardzo pięknie napisany artykuł Andrzeja R. Małeckiego pt. *Braterstwo ducha i cierpienia*, związany z 62. rocznicą aresztowania przez Niemców 182 profesorów krakowskich (6 listopada '39) oraz **60. rocznicy**

mordu profesorów lwowskich (3/4 lipca '41). Autor bardzo szczegółowo omawia przebieg *zbrodni wuleckiej*, poprzedzając opis takimi zdaniami:

W tym braterstwie cierpienia krakowianom szczególnie bliska jest zbrodnia wulecka we Lwowie, dokonana w nocy z 3 na 4 lipca 1941 r. Podczas gdy – dzięki międzynarodowej solidarności uczonych i zabiegom dyplomatów – większość krakowskiej profesury uratowano z piekła obozów zagłady, lwowscy profesorowie nie mieli żadnej szansy ocalenia. Niemiecka machina przemocy, wyciągając bowiem naukę z niedokończonej zbrodni krakowskiej Sonderaktion, stosowała się bezwzględnie do instrukcji generalnego gubernatora Hansa Franka: „Nikogo więcej nie odstawiać do obozów koncentracyjnych, lecz przeprowadzić likwidację na miejscu".

Autor przypomniał odsłonięcie tablicy poświęconej pamięci profesorów lwowskich w Collegium Novum w Krakowie przed dwoma laty (pisaliśmy o tym w CL S/2000), a na koniec zrelacjonował uroczyste złożenie przez studentów krakowskich hołdu pamięci pomordowanych we Lwowie, o czym pisał też na naszych łamach (CL S/01) Mateusz Szpytma.

➡ Media przypomniały rocznicę wybuchu Powstania Wielkopolskiego – 27 grudnia 1918 r. W wyniku powstania ziemie polskie z wysoko rozwiniętą gospodarką wróciły do Macierzy. Przypomniano też, że żołnierze Armii Wielkopolskiej prosto z okopów powstańczych ruszyli **na odsiecz oblężonego Lwowa** i uczestniczyli w wojnie polsko-bolszewickiej.

➡ W jednym z październikowych numerów (z 2001 r.) „Gazety Wyborczej" znaleziono i pokazano nam (sami tego pisma nie kupujemy) recenzję z książki Pawła Smoleńskiego, w której zebrano **cykl antypolskich i proukraińskich artykułów**, publikowanych wcześniej na łamach GW. Recenzję napisał niejaki Jacek Kuroń (tym, którym to nazwisko niewiele mówi, przypominamy: to ojciec Macieja Kuronia, który produkuje się w TV w branży kucharskiej. Sam też wydawał obiady).

Ton książki, ale i recenzji, ilustruje takie zdanie Kuronia: *Smoleński opowiada historie o tym, jak Polacy krzywdzili Ukraińców. To obraz skrzywiony, bo przecież było i na odwrót*. Było i na odwrót – ładnie powiedziane, prawda? Dobrze przynajmniej, że zauważa skrzywienie. Taki obiektywny.

Potem, żeby dalej osłabić proporcje, Kuroń przypomina *rabację galicyjską* w 1846 r. i Jakuba Szelę – jak to polscy chłopi rżnęli polskich panów. Tylko zapomniał sobie, że tamto było w innej epoce, a rozmiary ówczesnej rzezi, o sto lat wcześniejszej, i liczby ofiar raczej trudno porównywać do tego, co zrobili Ukraińcy w latach 1943–45.

I jeszcze inne podobnie utrafione anegdotki. Usatysfakcjonowany Kuroń dziękuje autorowi za tę książkę.

➡ Akademia Pedagogiczna w Krakowie jest chyba w polskiej czołówce w zainteresowaniu Ziemiami Wschodnimi i wydawnictwach z tego obszaru tematycznego. Brawo! Niedawno ukazał się opasły tom pt. ***Od strony Kresów. Studia i szkice.*** *Część druga* (części pierwszej nie mieliśmy dotąd w rękach). Znajdujemy tam również materiały dotyczące historii i kultury Lwowa, jednak większość odnosi się do północnowschodniego kręgu kultury i wybitnych Polaków z nim związanych. Redaktorem tomu zawierającego 19 prac jest prof. **Halina Bursztyńska** (Kraków 2000).

Ze Lwowem związane są artykuły: o działalności literackiej Adama Bełcikowskiego (lata 1860.), o lwowskiej „Bibliotece Mrówki" (przełom XIX/XX w.) oraz o zakładach opiekuńczo-wychowawczych we Lwowie z przełomu XIX/XX w. Oprócz tego powtórnie opublikowano artykuł Wł. Kolasy o współczesnej prasie *kresowej*, o którym dotychczas nie powiadomiliśmy, choć był już wcześniej drukowany w innym wydawnictwie AP. Do tego tematu powrócimy.

➡ W „Przekroju" 44/01 ukazał się obszerny, bogato ilustrowany zdjęciami i z uczuciem napisany artykuł Izabelli Bodnar pt. ***Wyspa LWÓW***. Na samym początku pani Redaktor cytuje słowa swojej rozmówczyni spod Wysokiego Zamku: *młoda lwowianka musi być pierwszorzędną gospodynią, zrobić coś nawet z niczego, mieć zawsze dobry humor. I szczycić się, że ze Lwowa pochodzi*. Ale mowa jest też o ciężkiej sytu-

acji ekonomicznej i o akcji charytatywnej krakowskiej „Wspólnoty Polskiej" (w której i my bierzemy udział). I o miłości do Lwowa, o bałaku, o batiarach. Dziękujemy, Pani Izo, niechaj Polska zna...

➡ W październikowym numerze „Gazety w Krakowie" przeczytaliśmy bardzo piękny, *po polsku* napisany artykuł Katarzyny Siemieńskiej pt. *Konopnicka i Orlęta* – o cmentarzach Łyczakowskim i Orląt. We wstępie autorka napisała*: Każdy, kto przyjeżdża do Lwowa, a czuje się Polakiem, odwiedza to miejsce. Liczący ponad 200 lat cmentarz Łyczakowski* ***to fragment historii naszego kraju****. Teraz, przed Świętem Zmarłych, szczególnie warto tu przyjechać*.

➡ Prof. W.A. Serczyk omawia („Dziennik Polski" 262/01) opublikowane niedawno w Kijowie raporty Nikity Chruszczowa, kierowane do Stalina, z okresu ponownego **zajęcia Lwowa przez armię sowiecką** w 1945 r. Przedstawia działalność AK, niepokoje ludności miasta w kwestii przyszłej przynależności Lwowa itd.

➡ W listopadzie ub.r. prasa rozpisywała się o aferze z rzekomym molestowaniem seksualnym 8–9 letnich uczennic przez proboszcza, gdzieś na Podkarpaciu. Sprawą zajęła się prokuratura, przesłuchano wielu świadków i – zarzuty nie potwierdziły się.

Ciekawostką jest natomiast to, że doniesienie złożyła... **żona księdza grekokatolickiego**, która ewidentnie – jak się okazało – dziewczynki nakłaniała do składania zeznań obciążających rzymskokatolickiego księdza. Nie chcielibyśmy przedwcześnie wyciągać wniosków z tej dziwnej akcji, ale obserwować warto...

➡ **Mamy niezdrową słabość** do żon zmarłych poetów. Niedawno pisaliśmy o pani K.H., która z jej tylko znanych przyczyn kajała się przed fałszywymi przyjaciółmi, pomniejszającymi wielkość jej męża. A teraz znaleźliśmy coś o wiele bardziej zabawnego („Dziennik Polski" 278/01: *Polski i kozacki jeździec*)

Oto pani Maria Harasymowiczowa, wdowa po poecie Jerzym Harasymowiczu, została zawieziona przez grekokatolickiego księdza z Krakowa do Lwowa, aby tam pooddychała powietrzem Ukrainy. Jechała *szeroką drogą wśród bezkresnej przestrzeni pól* (ach, te ukraińskie stepy! A może droga wiodła przez Sicz?). We Lwowie – oprócz innych atrakcji – *jak pod dotknięciem czarodziejskiej różdżki otwierały się podwoje najpiękniejszego teatru – zresztą repliki krakowskiego „Słowackiego".* No, no, odkrywcze spostrzeżenie. Może tylko warto by wiedzieć, że większy i wspanialszy teatr lwowski – dzieło Z. Gorgolewskiego, akurat poznaniaka – reprezentuje po prostu tę samą epokę, i takie były wszystkie teatry Europy tamtego czasu (podobieństwo dotyczy zresztą tylko wnętrza). A potem jeszcze widziała pani Harasymowiczowa Stryj, *miasteczko w galicyjskim stylu,* [...] *odnawiające się w ukraińskich kolorach, malinowym*, *żółtym i niebieskim, szczycące się swoją narodową tradycją, gdzie na głównym placu stoi pomnik oddający hołd poetom Ukrainy: Łesi Ukraińce, Tarasowi Szewczence, Iwanowi Franko, a na innym – Stepanowi Banderze.* Tak, po prostu, bez żadnych refleksji. Przy okazji warto by zauważyć, że miasteczko Stryj jest raczej w polskim stylu – z szachownicą ulic, rynkiem pośrodku, kościołem w rogu itd. Jak Kraków, Lwów, Warszawa, Poznań, Nowy Targ albo Gródek Jagielloński... (ostatnim takim na wschodzie jest Kamieniec Podolski). Można by też sobie przypomnieć – jeśli w ogóle ma się o czymś pojęcie – że ze Stryjem byli związani Kornel Makuszyński, Kazimierz Wierzyński, Wilam Horzyca (a tamci z pomników – nie). Takie pełne zachwytu ple-ple ciągnie się przez cztery szpalty. Podróż z księdzem okazała się skuteczna.

Wdowa, która jakby zatraciła miarę, informuje przy tym, że Jerzy Harasymowicz był synem dowódcy batalionu 53. Pułku Piechoty (polskiej oczywiście), który stał w Stryju. Sam Poeta pisał: *Jestem polskim pisarzem ukraińskiego pochodzenia. Nie ma na świecie nikogo, kto zakazałby mi pisania po polsku*... Mówiąc „po naszemu" był Harasymowicz *gente rutenus, natione polonus*. Miał swoje hobby, ale przede wszystkim był inteligentny. Był k i m ś.

➡ Wedle naszej dotychczasowej wiedzy **polskie koneksje ze szkocko-brytyjską dynastią Stuartów** wiązały się z wnuczką króla Jana III (córką jego syna Jakuba), Marią Klementyną Sobieską (1701–35), którą wydano za Jakuba III Stuarta, pretendenta do tronu brytyjskiego. Tymczasem okazuje się, że jest i drugi wątek polsko-stuartowski. Opisuje go Piotr Piniński w książce *Ostatni sekret Stuartów. Dzieci Karoliny księżnej Alby* (Wydawnictwo DiG, Warszawa 2001). Historia jak z filmu.

A było podobno tak: Karolina, córka kolejnego pretendenta, Karola Stuarta, żyła przez lat kilkanaście w związku z Ferdynandem Rohan, przedstawicielem jednej z najwyższych francuskich rodzin arystokratycznych, ale zarazem... arcybiskupem Cambrai. Miłość ta zrodziła trzy owoce: syna i dwie córki. Syn zmarł bezpotomnie, jedna córka zmarła młodo. Nas interesuje druga: Maria Wiktoria, której istnienie było dla rodziny książąt Rohan na tyle krępujące, że wydano ją daleko – za bogatego bankiera polskiego, Ormianina Nikorowicza. Jesteśmy więc w domu: w Małopolsce Wschodniej.

Maria Wiktoria Nikorowiczowa urodziła syna Antyma, tego zaś córka Julia Teresa poślubiła potomka starej (i też niebiednej) polskiej rodziny szlacheckiej, hr. Leonarda Pinińskiego z Grzymałowa koło Skałatu. Synem Leonarda i Julii Teresy z Nikorowiczów był Leon Piniński, profesor i namiestnik Galicji, a po I wojnie rektor Uniwersytetu Lwowskiego (artykuł o nim drukowaliśmy w CL 1/01). Tegoż prawnukiem jest autor omawianej książki Piotr Piniński, krwi półpolskiej, pół-szkockiej, bo urodził się po II wojnie jako syn emigranta z matki Szkotki (ale już nie Stuartówny).

Tak czy owak, oba wątki polsko-stuartowskie łączą się ze Wschodnią Małopolską, z Żółkwią i Grzymałowem.

W połowie lutego odbyła się w Krakowie (na Wawelu!) promocja powyższej książki, z udziałem autora.

➡ W „Rzeczypospolitej" 281/2000 zamieszczono **rozmowę z Jerzym Janickim**, przeprowadzoną przez K. Masłonia pt. *Niezapłacony weksel*. Janicki ubolewa, że nie spełniło się jego marzenie napisania i zrealizowania serialu o Lwowie – dziś to dla niego już za późno. Wydana niedawno *Czkawka* (pochwaliliśmy ją w CL 2/01) jest czymś w rodzaju brulionu tego serialu. Rzeczywiście, szkoda.

➡ Na Święta Bożego Narodzenia do gazet krakowskich dołączono wkładkę pt. *Rada Miasta Krakowa. Informacje Przewodniczącego*. Tenże przewodniczący, Stanisław Handzlik, w swoim artykule zamieścił m.in. takie zdanie: *Szczególny wymiar, określony zawartymi przyjaźniami i wzajemną współpracą – mają dobrze układające się kontakty z Radą Miasta Lwowa.*

Zapewne nawał pracy nie pozwala Przewodniczącemu śledzić krakowskiej prasy, z której łatwo można się dowiedzieć, że najbardziej **Polsce nieprzyjazna** jest właśnie *Rada Miasta Lwowa*, siedlisko nacjonalistów „w dobrym starym stylu". Przykładem sprawa Cmentarza Orląt (wcale nie jedyna), w której interweniować muszą aż centralne władze z Kijowa, ale i tak bezskutecznie.

Gdzie się więc objawiają te pozytywne efekty współpracy obu wysokich Rad? Wyjaśnia to kalendarium *Najważniejsze wydarzenia trzeciego roku trzeciej kadencji* (Rady MK): w grudniu 2000 Kraków gościł delegację RM Lwowa w sprawie *Dni Lwowa w Krakowie*, a w maju 2001 Dni te odbyły się. I jeszcze jedno wydarzenie: również w maju '01 Przewodniczący wziął udział we francusko-niemiecko-polsko-ukraińskiej konferencji pt. *Ukraina, Polska i rozszerzenie Unii Europejskiej na Wschód*. To był na pewno milowy krok w stronę zjednoczonej Europy.

➡ „Dziennik Polski" 302/01 przypomniał, że w **1925 r. rozpoczęto w Polsce reformę rolną**. Parcelacja odnosiła się do majątków powyżej 180 ha, a na Kresach – 300 ha. Zakładano parcelację 200 tys. hektarów rocznie.

No i byłoby po europejsku: bez zniszczenia ludzi, dóbr kultury i gospodarki.

➡ „Dziennik Polski" w kolejnych numerach prezentuje *Poczet rektorów Uniwersytetu*

krakowskiego. W nrze 6/02 przypomina **Stanisława Biela zwanego Albinusem** (autor artykułu Z. Pietrzyk). Urodził się w 1457 r. w Nowym Mieście pod Przemyślem (miasteczko obecnie odcięte *jałtańskim* kordonem). Krakowskie TMLiKPW odwiedzało tę miejscowość i jej piękny, gotycki kościół. *Słownik* – patrz CL 2/96). Był synem mieszczanina, Mikołaja. Studiował na Uniwersytecie w Krakowie najpierw filozofię, a w wiele lat później teologię. Podróżował w celach naukowych do Rzymu i do miast niemieckich. W 1487 r. był profesorem poetyki. W 1492 r. został dziekanem wydziału filozoficznego, a w 1505 wydziału teologicznego. Rektorem Uniwersytetu wybierano go dziesięciokrotnie w latach 1509–32. Był podobno doskonałym oratorem, ponadto wydał podręcznik pisania listów. Interesował się losami biblioteki uniwersyteckiej. Zmarł w 1541 r.

Malwina Piskozub

Listy do redakcji

Ze Lwowa przed samymi Świętami nadszedł list, nie tylko dla nas miły, ale potwierdzający sensowność naszego redakcyjnego działania:

Wielce Szanowny Panie Redaktorze! Wielce Szanowni Państwo!

Pragniemy podziękować za przekazywanie czasopisma „Cracovia–Leopolis" dla nas. Jest to bardzo ciekawe i żywe źródło informacyjne, z którego środowiska polskie ze Lwowa, Ziemi Lwowskiej, czerpią interesujące ich wiadomości

W imieniu Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie serdecznie dziękuję za pomoc i współpracę w roku 2001, w której szczególnie cenimy sobie szybkie reagowanie Państwa na potrzeby Polaków zamieszkałych na terenie Małopolski Wschodniej, podtrzymywanie ich na duchu oraz wspieranie ich działalności.

Z całego serca życzymy zdrowych i pogodnych świąt Bożego Narodzenia oraz wiele szczęśliwych dni w Nowym Roku 2002, spełnienia marzeń i nadziei.

Z wyrazami głębokiego szacunku, uznania i przyjaźni.

Prezes Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie, Emilia Chmielowa

Bardzo dziękujemy wszystkim Czytelnikom, Autorom i Przyjaciołom, którzy nadesłali nam życzenia świąteczne i noworoczne.

Dr Tadeusz Kukiz po lekturze CL S/01 zwrócił nam uwagę na dwa błędy. W pierwszej sprawie cytujemy list Doktora:

Na stronie 2 przedrukowano z „Myśli Polskiej" (1998, nr 19) skrót tekstu Jerzego Wolaka *Królowa Polski*, w którym podał on, że obecny w katedrze lwowskiej na uroczystości Ślubów Jana Kazimierza *nuncjusz papieski biskup Piotr Vido w czasie śpiewania Litanii Loretańskiej zaintonował trzykrotnie: „Regina Regni Poloniae, ora pro nobis", co było pierwszym liturgicznym nazwaniem Maryi tym tytułem*.

Było inaczej. Fakt ten miał miejsce nie w katedrze lwowskiej, gdzie Jan Kazimierz 1 kwietnia 1656 r. składał słynne Śluby, lecz w kościele Jezuitów, kilka dni później, przed obrazem Matki Boskiej Pocieszenia (obecnie wizerunek ten znajduje się w kościele św. Klemensa Dworzaka we Wrocławiu), a nuncjusz nazywał się Vidoni, nie *Vido*.

Bardzo dziękujemy za to sprostowanie. Trochę nam wstyd, że przekazaliśmy niezbyt precyzyjną informację, ale z drugiej strony równać się z Panem Doktorem, autorem tylu książek o obrazach Maryjnych (patrz Nowe Książki w tym numerze), w wiedzy o tych obrazach i wydarzeniach z nimi związanych – nie możemy.

Druga sprawa: dr Kukiz zauważył (s. 42), że pisząc o przyjeździe do Krakowa dzieci z różnych miejscowości Małopolski Wschodniej, wymieniliśmy m.in. Czerwonogród, a przecież to niemożliwe, bo miejscowość owa została zniszczona w czasie napadu banderowców w 1945 r. Oczywiście ma ra-

cję, a wiadomość tę przepisaliśmy nieuważnie z dostarczonej nam relacji, poprawiając jedynie Czerwonograd – czyli polski Krystynopol – na też polski Czerwonogród, lecz będący całkiem inną miejscowością. Jednak uwaga Pana Doktora, że powinniśmy używać historycznej, polskiej nazwy miasteczka, a nie sowieckiej, ukłuła nas boleśnie, bo właśnie na to zwracamy uwagę szczególną (jak żadne inne pismo „kresowe"). Tu zwiodło nas podobieństwo nazw, nasza wina! Doktorowi dziękujemy – cieszy nas, że tak dokładnie czyta CL.

Kolejny list, od p. Marty Walczewskiej – napisany po lekturze wspomnień Zofii Lewartowskiej, które wydrukowaliśmy w CL S i 4/01 – ma walory historyczne i literackie:

Nie znałam zagadnienia *repatriacji* od tej strony, ale przeżyłam ją jako dziecko, kiedy w grudniu 1945 r. wraz z matką i dwoma siostrami musiałam wyjechać ze Lwowa. Jechałyśmy ostatnim transportem nauczycielskim. W naszym mieszkaniu przy ulicy Wyspiańskiego już mieszkał żołnierz sowiecki – inwalida, który z pomocą miejscowego Ukraińca włamał się i zajął jeden pokój.

Trzeba było pożegnać swoją ulicę, gdzie tak dobrze grało się w klasy na płytach z różowego kamienia. Nie powrócą już spacery z obręczą na Kajzerwald, zabawy na Górze Piaskowej. Widok dla dziecka niezapomniany: na schodach prowadzących do kościoła św. Antoniego pełno „kalesoniarzy" – pacjentów szpitala, mieszczącego się w szkole św. Antoniego na Łyczakowskiej, wygrzewających się w słońcu w bieliźnie. W dziecinnej pamięci pozostała Panorama Racławicka i Panorama Plastyczna miasta Lwowa, pokazana nam przez matkę przed wyjazdem z kochanego miasta. Rodzina wyjechała wcześniej, ojciec zginął w 1941 r. – wciąż jeszcze miałyśmy nadzieję, że się odnajdzie.

Musiałyśmy wyjechać. Mama zapakowała, co się dało, do skrzyń. Jakiś kierowca za wódkę ukradł gdzieś benzynę i zawiózł nas na dworzec. Nasza część bydlęcego wagonu była już zajęta. Paki zostały załadowane do dziesięciu wagonów. Nic nie zginęło. Pamiętam, jak ludzie na dworcu płakali. Ja dziwiłam się, czemu oni tak płaczą – przecież my tu wrócimy!

Wagon był wypełniony skrzyniami z dobytkiem ekspatriantów. Na środku stał piecyk, który dawał trochę ciepła. Urządzono nam legowisko na stosie skrzyń, pod dachem wagonu. Z góry widziałam łóżko, na którym leżał jakiś stary, chory człowiek. Wtedy nie rozumiałam tragizmu jego sytuacji. Ten pan umarł, gdzieś w drodze jego ciało wyniesiono z wagonu.

Pociąg jechał, stawał – nigdy nie było wiadomo na jak długo. Czasem brakowało węgla do parowozu, ale kiedy znalazła się wódka, okazywało się, że można jechać dalej. W Krakowie poszłyśmy do dalekich krewnych, mieszkających w pięciopokojowym mieszkaniu. Może nas przyjmą? Zosiu, z trojgiem dzieci, to niemożliwe! Po dziesięciu dniach transport dojechał do Katowic, gdzie umieszczono nas – rodziny, które nie miały się gdzie zatrzymać – w szkole, w sali gimnastycznej. Tu znowu miałyśmy legowiisko na skrzyniach pod sufitem. W takich warunkach spędziłyśmy święta Bożego Narodzenia. Mijały dni i tygodnie. Mama odnalazła swego brata, który powrócił z Rumunii i szukał miejsca osiedlenia. Przejeżdżając przez Maków Podhalański – wysiadł, bo góry wydały mu się podobne do tych huculskich, które lwowiacy kochali. Tu założył gimnazjum. Mieszkał z dwoma synami w pokoju z kuchnią i przyjął nas serdecznie. Spałyśmy pokotem na podłodze. Mama zaczęła uczyć w szkole. Zajmowała się też remontem i dezynfekcją budynku, sąsiadującego ze szkołą, w którym w czasie wojny był szpital sowiecki. Tam zamieszkałyśmy. Powoli udało się odtworzyć dom rodzinny, ale tęsknota pozostała.

Tak się złożyło, że w niniejszym numerze zamieściliśmy również tekst radiowy ojca autorki powyższego listu, dra Henryka Breita o huculskich snycerzach z lat międzywojennych. Do następnego numeru!

W następnym numerze:

Sprawy Kościoła w Małopolsce Wschodniej i na Ukrainie ❖ O profesorze Dąbkowskim ❖ Rozmowa z prof. Kolendą ❖ Rozmowa z ks. Panasowcem

(dokończenie z II strony okładki)

przez publikatory w swoim regionie, obserwować relacje między *naszą sprawą* a resztą społeczeństwa, światem nauki, władzami – rozeznawać je, omawiać, komentować, a w razie potrzeby reagować – mielibyśmy pełny obraz sytuacji. Nie jesteśmy przecież i nie chcemy być samotną wyspą, oderwaną od współczesnego świata. Chętni korespondenci na pewno się znajdą.

Resztą zajmiemy się w następnym numerze.

Co do *regionalizacji* serwisu informacyjnego o wydarzeniach i publikacjach, mamy oczywiście swoje sugestie dla redakcji naszych głównych czasopism:

Wrocław, Opole, Katowice
Poznań, Szczecin, Bydgoszcz, Zielona Góra
Kraków, Kielce, Rzeszów
Warszawa, Łódź, Gdańsk, Olsztyn
Lublin, Białystok

W każdym przypadku chodzi oczywiście o wszelkie liczące się media, nie tylko wojewódzkie. Nie zapominajmy o lokalnej prasie w Przemyślu, Nowym Sączu, Radomiu, Raciborzu, Legnicy, Koszalinie czy Jaworze i wielu, wielu innych...

Oczekujemy Waszych opinii na ten temat.

* * *

Niniejszy numer poświęcamy południowym rubieżom naszej Wschodniomałopolskiej Ziemi. Piszemy o Zaleszczykach (najwięcej!), o Czarnohorze i o Skolem. Jest historia i teraźniejszość, radość wakacji i sztuka, groza wojny i groza górskiej zimy.

Niniejszy numer CRACOVIA-LEOPOLIS
został wydany przy pomocy finansowej
Wydziału Edukacji i Kultury Urzędu Miasta Krakowa
oraz Oddziału Szczecińskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa
i Kresów Południowo-Wschodnich

Redakcja składa serdeczne podziękowanie w imieniu własnym i Czytelników

Na I stronie okładki: Zaleszczyki

Czasopismo Oddziału Krakowskiego
Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-WschodnichP

Redaguje zespół: Andrzej Chlipalski (redaktor naczelny), Barbara Kościk, Janusz M. Paluch
Rada Redakcyjna: Andrzej Chlipalski, Barbara Czałczyńska, Ireneusz Kasprzysiak, Barbara Kościk, Romana Machowska, Janusz M. Paluch, Krystyna Stafińska, Irena Suchanek, Maria Taszycka, Marta Walczewska, Jacek Walczewski
Adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, 31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27
Informacje o prenumeracie: Romana Machowska, tel. (12) 637-13-21

Skład i łamanie: FALL, Kraków, tel. (12) 413-35-00, 294-15-28, e-mail: fall@inetia.pl
Druk: Poligrafia Kurii Prowincjalnej Zakonu Pijarów, 31-015 Kraków, ul. Pijarska 2

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiustacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania śródtytułów. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Copyright by Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

Spis treści

Słowo od Redakcji
NASZE CZASOPISMA 1

Felieton
Barbara Czałczyńska
FELIETON W KOLORZE BIELI 1

Janina Grzesiowska-Skowrońska
POLSKI MERAN 2

Wiersz
Mieczysława Piotrowska
MATKA BOSKA GROMNICZNA 4

Mieczysław B. Lepecki
MARSZAŁEK W ZALESZCZYKACH 4

Józef Juzwa
PRAWDA O SZOSIE ZALESZCZYCKIEJ 8

Elżbieta Turnau
ZALESZCZYCCY BARONOWIE 12

Zofia Dudrówna
SKOLE, SKOLE – MOJA MIŁOŚĆ 14

Proza
Beata Obertyńska
O MAMINEJ STOROŻCE 17

Archiwum
ZACZĘŁO SIĘ W CZARNOHORZE 21
Henryk Breit
HUCULSCY SNYCERZE 24
BIAŁA ŚMIERĆ 27

Janusz Kamocki
POLSKO-HUCULSKIE LOSY CERAMIKI 23

Rozmowy
Andrzej Chlipalski
ROZMOWA Z EDWARDEM SOSULSKIM 28
Janusz M. Paluch
ROZMOWA Z BARBARĄ WACHOWICZ 30

Wiersze
Anna Makomaska
PIEŚŃ O LWOWIE
NIE WRÓCĘ JUŻ DO LWOWA 32
Wojciech Hausner
JEDEN ROK ALFREDA HAUSNERA
W RADZIE PAŃSTWA 33

Naszym zdaniem
Barbara Kraśnicka
NIEPOROZUMIENIE 34

Słownik geograficzno-historyczny
PRZEMYŚLANY ◆ ROHATYN
◆ TREMBOWLA ◆ ZALESZCZYKI 35

Z tamtej strony
Emilia Chmielowa
DZIEWIĘĆ LAT 36
Jerzy Żuk
CMENTARZ ŁYCZAKOWSKI 38
Kazimierz Selda
SZKOŁA SOBOTNIA 39
WYDARZENIA 40

W Krakowie i dalej
Andrzej Pawłowski
KRAKÓW GENERAŁOWI
ROZWADOWSKIEMU 40
NOTATKI 42

Kultura ◆ Nauka
Aldona Duch
LWÓW W KRAKOWSKIEJ
AKADEMII PEDAGOGICZNEJ 44
Elżbieta Mokrzyska
CZARTORYSCY 45
KRONIKA 46

Książki ◆ Czasopisma
Stefan S. Łukowski
NOWE KSIĄŻKI 48
Andrzej Chlipalski
DRUGA GAZETA WE LWOWIE 54
Malwina Piskozub
WERTUJĄC WYDAWNICTWA 56

Listy 59